Nr. 24 Lwów, Niedziela dnia 10. Lutego 1878 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

REFORMY W SZKOŁACH TECHNICZNYCH.

Nie ma może kraju na świecie, gdzieby technicy byli gorzej niż u nas położeni.

Podaż przerasta o wiele popyt; nie tylko nasza szkoła lwowska, lecz i inne zagraniczne, po całym świecie rozsiane, dostarczają nie małego kontygensu ukończonych inżynierów, mechaników, architektów, chemików itp., których część znaczna tula się bez zajęcia. Lecz może dla tych wszystkich znalazłyby się miejsca, gdyby system protekcyjny nie był szeroko rozgałęziony i gdyby cudzoziemcy nie mieli pierwszeństwa. Lecz niestety tak nie jest. Byle jaki Precliczek zawsze jest lepszy niż krajowiec.

To też spotykamy się nieraz ze smutnymi, a nigdzie indziej niesłychanymi przykładami. Widzieliśmy już inżynierów, którzy oddali się prywatnej nauczycielce, widzieliśmy chemików pracujących u adwokata itp.

Do tego smutnego stanu przyczyniała się, i to głównie, niewiara w techników w kraju wykształconych. I rzeczywiście miano pod tym względem słuszność do pewnego stopnia. Szkoła nie dawała gwarancyi zupełnej co do uzdolnienia młodego człowieka, który ją opuszczał. Egzamina nie były dotąd obowiązkowymi, nie było ogólnych egzaminów na otrzymanie jednego świadectwa i technik musiał po skończeniu jeszcze raz zdawać egzamin rządowy, aby mieć prawo wykonywać na własną rękę wszelkiego rodzaju roboty i poświęcić się służbie rządowej.

Otóż pod tym względem ma zajść obecnie we lwowskiej Szkole politechnicznej wielka i ogromnej doniosłości zmiana, która, jak nam się zdaje, o całej przyszłości szkoły rozstrzygać będzie. Zmiana ta polega na zaprowadzeniu egzaminów przejściowych z przedmiotów teoretycznych, na zaprowadzeniu egzaminów państwowych i egzaminów dyplomowych.

Już w r. 1874 kolegium profesorów dawniejszej Akademii technicznej, uznając potrzebę zaprowadzenia reform egzaminowych, podało w tym celu odpowiedni memoryał do Ministerstwa oświaty. Kilka innych szkół austryackich, a głównie pragska, uczyniły to samo i Ministerstwo oddało rzecz całą do zbadania odpowiedniemu referentowi. Otóż na podstawie memoryałów przez szkoły przedstawionych, został opracowany projekt reform, które Ministerstwo przedłożyło komisyi ankietowej, do której wszystkie Politechniki wysłały delegatów. Posiedzenie tej komisyi miało się odbyć d. 30. bm. w Wiedniu.

Oto jest w kilku słowach zarys nowego projektu:

Po skończonych dwóch latach na Politechnice, student przystępuje do tak zwanego egzaminu przejściowego, na którym ma się wykazać ze swych wiadomości nabytych w dziedzinie nauk teoretycznych. Zanim jednak mu wolno przystąpić do tego egzaminu, musi się wprzód wykazać frekwentacyami i zdaniem egzaminu wstępnego z pewnych przedmiotów, mających dla niego szczególną wagę. I tak np. student inżynieryi, zanim przystąpi do egzaminu przejściowego, musi wprzód zdać egzamin wstępny z fizyki. Egzamin przejściowy odbywa się w obecności komisyi wybranej *ad hoc* głównie z grona profesorskiego, jednak wejść do niej mogą i ludzie prywatni, znajdujący się po za techniką, znani pod względem wykształcenia technicznego. Przedmiotem egzaminu przejściowego będą nauki teoretyczne, głównie matematyczne i mechaniczne.

Po ukończeniu całego kursu nauk, przystępuje student do egzaminu państwowego, w którego zakres wchodzą wszystkie nauki fachowe. I tu musi się wprzód wykazać frekwentacyami i niektórymi egzaminami wstępnymi. Egzamin państwowy odbywa się w obecności komisyi *ad hoc* przez rząd wydelegowanej.

Przebycie tego egzaminu ma dawać wszelkie prawa przywiązane do dotychczasowych egzaminów państwowych.

Technik, który przebył te wszystkie próby, może przystąpić do jeszcze jednego egzaminu, który już jest ostatnim, i który przedewszystkiem ma znaczenie naukowego wyższego stopnia. Jest to egzamin dyplomowy, rodzaj doktoratu technicznego, który się odbywa na podstawie rozprawy przedłożonej przez kandydata, który jej musi wobec oponentów obronić.

Taki jest w ogólnych zarysach projekt Ministerstwa, który, jeśli zostanie przyjętym, za lat trzy ma już całkowicie wejść w życie.

ŁUSIA BURLAK.

NOWELLA

SEWERA

na tle najprawdziwszych faktów osnuta.

(Ciąg dalszy).

Chata Burlaków umieszczona w samym środku wsi, tuż za figurą Matki Boskiej pozłacaną, którą postawił Bartyzel bogaty, gdyż było dwóch Bartyzelów, dobrze odbijała od innych białością ścian, wysokim kominem i pomalowanemi na blado-niebiesko oddrzwiami, gdy same okna miały na sobie ślady białego pokostu. W środku drzwi prowadziły do sieni, z sieni na prawo szło się do izby, na lewo do sypialni państwa Burlaków. Łusia sypiała jeszcze na przypiecku.

Przed chatą ode drogi widać było ogródek, a w nim wysoko pięły się różowe malwy, które, wyglądając z za płotu, uśmiechały się smutno do ludzi idących drogą, jak smutno patrzały w kościele na świętych, przytulone do białych chustek zawiązanych na głowach piękności wiejskich. Dla czego smutno?.. Nie wiem, dla czego smutnym Bóg stworzył malwy kwiat. Za płotem i malwami stały drzemiące w ciszy i ogniu, lecącym z nieba, dwie jabłonki i śliwka. Gruszki już nie było, uschła i tatuś ją wyciął.

Osiołek wpadł na mostek, a zwabiony nadzieją pożywienia w stodole lub w stajni, pokłusował między opłotkami na podwórko, za nim Łusia z dwojakami i gałęzią. Burek leżał na słońcu przy białej ścianie chaty i ani się ruszył, zaledwo dwa razy ogonem radośnie merdnął zobaczywszy Łusię. Obrażona dzie-

wczyna za lekceważenie swej godności, uderzyła go ręką, na co Burek oczy zmrużył, lecz nawet nie pomyślał, aby się ruszyć z miejsca.

— Matusiu, grabiłam na łące hań hań — zawołała uradowana mała, zobaczywszy na podwórzu matkę. — Polowy powiedzieli, że ja już potrafię zrobić tyla, co stara.

— Smyśnaś ty dziewucha — odpowiedziała matka.

— Paweł Nicponiów — mówiła dalej — powiedział, że Staszek Zawrzykraj wyszlą do do mnie za dwa lata z wódką.

— A ty cóżeś mu powiedziała?

— Ja nic, ino grabiłam, a i Staszek także nic nie mówili...

— I dobrze zrobił — rzekła matka — bo ty jesteś gospodarska córka, a Staszkowa matka tyle co wyrobnica, ma ino dwie morgi na chłopaka i siebie.

— Ale mnie tatuś dają siedm, tak ludzie mówili.

— Niech oni nie wtykają nosa między nas, a ty głupia nie zaprzątaj sobie głowy Zawrzykrajem, jak urośniesz, będziesz mieć dziesięciu do wyboru gospodarskich synów, a nie zagrodników! Wyżeń krowy na pole i i wracaj. Patrzajcie, jeszcze od ziemi nie odrosła, komu to tu o chłopakach gadać...

Po takiej nauce danej córce, matka rada z siebie, poszła do izby. W tych samych zasadach i w podobnych warunkach była sama wychowaną i było dobrze. Oddawała córce to, co otrzymała. I tak z pokolenia na pokolenie szedł obyczaj i tradycya z nim.

Łusia dumna ze swego rodu, stanowiska i majątku, a które pozwolą jej niedługo wybierać między dziesięcioma gospodarskimi synami, weszła do obórki, odwiązała przywiązane za rogi powrozami krowy, na jedną z nich nie mającą ochoty podnieść się wołała:

— Wstajaj Wtorucha, (nazwana na pamiątkę przyjścia jej na świat we wtorek.)

Wtorucha wstała, Łusia zaczęła ją drapać po szyi, bo ją lubiła. Widać, że to krowie wielką przyjemność zrobiło, gdyż wyciągnęła szyję, łeb oparła o żłób, a oczy zmrużyła.

— Dosyć, dosyć, szepnęła mała drapiąc ciągle faworytkę, poczem na zakończenie uderzyła ją dwa razy pięścią w kark, mówiąc jej do ucha: Na pole!

Wtorucha oczy otworzyła, zwróciła się i poszła.

Za przegrodą stały cielęta krase i graniate, a które Łusia uważała za przyszłą własność dodaną jej do wiana, dla tego też szczególnie o nie dbała i pochlebiała im, jak mogła. Przyroda jest egoistką i my z nią, tem silniej, im bliżej niej stoimy.

Łusia myślała o sobie i nie mamy jej tego za złe, albowiem nie jesteśmy ideologami i nie lubimy pisać ideologicznych bredni. Te zostawiamy młodym poetkom lub wiekowym powieściopisarkom. Należy umieć kochać to co jest, i szukać poezyi w tem jak jest, a nie kłamać, i dla tego, że nie umiemy pisać prawdy, oszukiwać ludzi i siebie.

Cielęta znały wybornie małą gospodynię, przesunęły się do zagrody, małe łebki pokładły na przepierzeniu, mocno i głośno wciągając nozdrzami powietrze, widocznie z radości, a białymi językami oblizywały się nieustannie, przypominając, aby im co dać, jak mówią, na głodny ząb.

— Czekajcie, czekajcie — mówiła do nich Łusia — ino wyżenę krowy na drogę, wrócę do was. Pójdziecie wy niedługo do mojej obory, jak urośniecie na krowy, a do mnie przyjdą z wódką gospodarscy synowie.

— A cóż się stanie ze Staszkiem, przesunęła się po głowie dziewczyny myśl, a przed oczami stanął nieśmiały chłopak, zarumieniony po same uszy, ze spuszczonemi na dół oczami. Wprawdzie był tylko w koszulinie, przepasanej skórzanym paskiem i białych płótniankach, boso, w kapeluszu słomianym nasuniętym na oczy! A ona miała korale, kupione na jarmarku w Szczurowej za dziesięć papierków,*) nie mówiąc już nic o butach czekających w komorze na niedzielę, a gdyby chciała, mogłaby je codzień nosić, bo ona gospodarska córka, a Staszek tyle co wyrobnik!

Tymczasem wypędzone krowy drapały się o róg stodoły i z nudów przyśpiewywały sobie, rycząc. Ryk wyciągnął Łusię od cieląt i przerwał rozmyślania o Staszku. Otworzyła wrota, krowy nie czekając rozkazu, poszły, mała odprowadziła je na drogę, a widząc, że prosto zmierzają na błonia, wróciła na dziedziniec, spojrzała przez szybę do chałupy. Matka karmiła Jantosia, i patrzyła ino na swego jedynaczka, pobiegła więc szybko do stodoły, zabrała w zapaskę, ile mogła, zwiezionej wczoraj koniczyny i z nią wsunęła się do obory, odchyliła deskę przegrody, a z zapaski wysypała wszystko.

— Jedzcie, jedzcie, tylko jak urośniecie, żebyście mi dużo mleka dawały, odezwała się rozdzielając na równe części przyniesioną zdobycz. Cielęta chciwie zabrały się do świeżej pachnącej ziołami koniczyny, a dzieweczka sparta o przegrodę, niewiadomo dlaczego i po co zadumała się. Ciemne jej oczy dziwnie świeciły, a złote włosy wyglądając z po za białej chustki, dobrze odbijały od opalonej twarzyczki, małego cienkiego noska i rumianych ust. Zmącone myśli plątały się w młodej głowinie. Dziesięć kerezyi haftowanych na szerokich ramionach, dziesięć czapek z pawiemi piórami na bakier na głowach, wszystko chłopcy raźni i weseli, a między nimi Staszek. Uśmiechała się do dziesięciu synów gospodarskich, a serce jej rwało się do Staszka. Taka już dziwna natura ludzka, śmiejemy się radzi do szczęścia, a za serce chwyta nas smutek, jeżeli nam mówi o cieple uczucia. Wprawdzie nie na długo, ale nas chwyta, póki się nie roześmiejemy serdecznie. Łusia się roześmiała, że aż cielęta ciemnemi oczami wpatrzyły się na nią, gdy w tej chwili głos matki przerwał złote sny budzącej się wiosny.

Łusiu, Łusiu! a gdzieżeś ty?

Zerwała się dziewczynka, a bojąc się, aby się nie wydało porwanie ze stodoły koniczyny, wybiegła z obórki.

— Czy wiesz, że Paweł złamał lemiesz? — spytała matka.

— Nie wiem — odpowiedziała poważnie Łusia.

— No złamał i już, a tatuś jutro pojadą orać pod pszenicę.

— A ino, powiedziała mała.

— Nie ma co, tylko trzeba pług zawieść do kowala.

*) Guldenów.

— A gdzież Paweł? — zrobiła pytanie Łusia — podpierając się zwyczajem gospodyń jedną ręką pod bok, drugą ujęła się pod brodę, jak gdyby ją chciała podpierać.

— I nie wiesz, że włóczy odparła matka.—

— No, a tak — rzekła powoli Łusia, jak gdyby chciała wpaść w tok długiej gawędki, na co jednak gospodyni nie zgodziła się.

— Nie ma co — odezwała się prędko — tylko zaprzęgaj osła do wozu i jedź do kowala, pług już na wozie.

Dziewucha skoczyła z radości. Zaprządz osła i powozić nim przez całą wieś, należało to do zaspokojenia wysokiej ambicyi. Miał on swoją uprząż ze starych szle przerobioną i łatwo go było w nią ubrać, ale wyprowadzić ze stajni, wymagało wiele męztwa i odwagi. Znalazł nieco obroku zostawionego przez konie i postanowił nie wyjść przed zjedzeniem go, a że osły w wytrwałości podobne są filozofom w badaniach, przeto i nasz oparłszy się o przednie nogi, ani kroku nie chciał zrobić. Napróżno Łusia tłumaczyła, że obrok ze żłoba nie ucieknie mu, że niedługo wróci, i doje co ma dojeść! Nic nie pomogło, nogi wyprężył jak z żelaza, a łeb usiłował schować w żłób.

Dopiero sama pani Burlakowa zjawieniem się swojem w oborze przerwała obopólne zapasy.

— Czy ty chcesz, abym ja sama po ciebie poszła, co? — krzyknęła na osła, potężnym swym głosem — a wszystkie Rakocze, Burlakowa była Rakocza z domu, znane są, z miłości do dzieci, a srogości dla bydła, oraz z szerokiej skali i wysokiego tonu głosu. Mówią złośliwi, że sam gospodarz vulgo mąż, byłby pod pantoflem, gdyby pani Burlakowa nosiła ten rodzaj okrycia nóg. Nie nosiła i to ratowało Burlaka.

Osioł, usłyszawszy głos swej pani, a znając jej razy i potężną rękę, w tej chwili z biernej opozycyi przeszedł w czynną akcyą, chociaż ta wyrażała się tylko posłuszeństwem.

Tryumfująca Łusia wyprowadziła filozoficzną postać z obory, bez żadnych trudów i bez kłopotów, zaprzęgła ją do wozu, otworzyła wrota, szarpnęła lejcami, śmignęła batem i pojechała między murowaną karczmę, kościół, wikaryjkę i szkołę, w stronę do kuźni. Widzieli ją powożącą gospodynie, parobcy dworscy i młody Rembacz, co się uczył u organisty. Dzieci ze wsi biegły za nią, jedne poganiały osła, drugie gramoliły się na wóz, że aż Łusia musiała stanąć, i zabrać dwie małe córki Kopernego, bo się bała, aby nie wpadły pod koła. Chłopaki sami wleźli na wóz krzycząc z radości. Osioł strzygł uszami, czasem głową kiwnął, lecz zawsze szedł ulubionego truchta z jednakową powagą i spokojem.

Cała kalwakata zajechała przed kuźnią, osioł jako zwierzę rozumne i wyrachowane, stanął sam pierwszy, nie chcąc stracić ani jednego kroku napróżno. Chłopcy w okamgnieniu znieśli z wozu pług z ułamanym lemieszem. Kowal nałożył fajeczkę, zapalił ją rozpalonemi obcęgami, pyknął parę razy i przystąpił do obserwacyi lemiesza i pługa. Patrzał, kiwał głową, palił fajkę i znów patrzał. Dzieci otoczyły pług, jedne się pochyliły, drugie pokucały, a wszystkie śledziły ruchy i wyraz twarzy kowala czekając na wyrok.

— Nadstawić i zaszwejcować — odezwał się po długim namyśle kowal. — Dwóch naj-

tęższych chłopów wziął do miecha, i sam zabrał się do roboty.

Z początku dzieci przypatrywały się ogniowi, iskrom wylatującym i rozpalonemu żelazu, a między niemi Łusia. I stałyby tak, przypatrując się aż do ukończenia dzieła, gdyby jeden z młodych Gofronów nie zaproponował wyprawy na jabłka w ogrodzie dworskim!

Propozycya została przyjęta z okrzykami radości, gdyż w ogóle dzieci, a tem więcej dzieci wiejskie, lubią jabłka z cudzych ogrodów.

Łusia poskoczyła za drugiemi. Miała nawet wielką ochotę dostać się przez parkan do ogrodu. Niebezpieczeństwo elektryzuje żywe charaktery, pobudza je do działania i hazardów! Temperament popychał ją naprzód, ambicya szeptała słowa zachęty, serduszko biło, lecz cóż wstyd i obawa, a raczej pewne utajone skłonności natury niewieściej przykuwały ją do gościńca. Stanęła, patrząc na złote jabłka i chłopców wdrapujących się na szczyt parkanu i znikających jeden za drugim w krzakach ogrodu.

Nastąpiła chwila udręczenia, pochodząca z niepewności i oczekiwania, po niej kucnięcie jako objaw wzruszenia. Na jabłoni ukazał się 12 letni Gofron.

— Jest, jest, szeptały rówienniczki Łusi rozstawione na gościńcu. Czy go widzisz?

— Widzę — odparła cicho Łusia — podniosła się i wzrok utkwiła w jabłonkę.

Gałęzie jabłonki, ujęte silnemi dłońmi chłopca, zadrżały, i w tej chwili odgłos spadających na murawę jabłek, wydobył na gościńcu z piersi dziewczynek przytłumione westchnienia zachwytu.

Drugie wstrząśnienie drzewem było silniejsze, czego rezultatem okazał się grad lecących jabłek.

Niezadługo z po za parkanu zaczęły przelatywać złote jabłka na gościniec. Dziewczęta rzuciły się na tę zdobycz goniąc za nią. Jedno zatoczyło się pod nogi Łusi, po drugie pobiegła do rowu, chowając je za gorsecik. Aliści maluczko dał się słyszeć świst w ogrodzie i dalekie szczekanie psa!

Dziewczynki przestraszone pogalopowały do kuźni, pługa i osiołka, chowając przez drogę jabłka, gdy tymczasem chłopcy jeden po drugim, z godną podziwienia zręcznością, przesadzali parkan, uciekając, ile im sił starczyło. A że lemiesz już był nadstawiony i wyklepany, wrzucono pług w mgnieniu oka na wóz, a za nim gromadka wgramoliła się, jak kto mógł i umiał. Łusia wsadziła córki Kopernego, Bartyzel najsilniejszy chłopiec pochwycił lejce i bat a wtedy pan osioł, czując pana nad sobą, uciął z prawej nogi galopa. Bartyzel pochlebiał sobie, że to ze strachu przed nim, gdy osioł pamiętał dobrze, albowiem osły mają wyborną pamięć, o koniczynie i obroku zostawionym w żłobie stajenki.

Galopowali, uciekając przed domniemywaną pogonią.

Osioł chciał gwałtownie skręcić z gościńca na mostek, między opłotki do chałupy Burlaków, lecz go wstrzymał Bartyzel. Chłopcy i dzieci powysiadywały z wozu. Łusia wzięła lejce i bat w ręce i zgrabnie skręciła. Dzieci były pewne, że osioł wyratował je od nieszczęścia.

— Wprawdzie dworski ogrodnik mały, krępy i zażywny mąż, słysząc rabunek świstał na swą sukę Korę, nawet sam poszedł na miejsce popełnionej zbrodni, zobaczył drabinkę przy parkanie, wlazł na nią, spojrzał na gościniec i na tem podniesieniu zażył tabaki, po czem powiedział:

— Dam ja wam, hultaje!

Przy tej sposobności zrekognoskował okolicę i wrócił do inspektów.

Dzieciom jednak zdawało się, że uniknęły wielkiego niebezpieczeństwa, uciekły przed sforą psów, pogonią ludzi, powrozami i więzieniem, no i nie przestawały się pysznić swem bohaterstwem i dzielnością.

Tymczasem Łusia zajechała na dziedziniec. Nowe niespodzianki, nowe kłopoty i nowe zajęcia. Wszystka gadzina*) Burlaków zgromadziła się na dziedzińcu, a że już niezadługo było do zachodu słońca, głośno zaczęła się domagać podwieczorku. Kury gdakały, ostrząc zawzięcie dzióby o kamyki i kawałki cegieł, kaczki darły się przeraźliwie, a gęsi nie na żarty sykały grożąc. Co począć, czy osła odprządz, zdradzającego zamiary wjechania z wozem do stajni, czy gadzinie coś rzucić, która już naprawdę otoczyła małą gosposię.....

Gęsi i kaczki odpędziła batem, odprzęgła osła, i nie tracąc chwili, pobiegła do izby, a za nią potoczyła się pierzasta zgraja, wrzeszcząc przeraźliwie. Gołębie z dachu chaty i ze szczytu spichlerzyka przypatrywały się temu obrazowi, z wyrozumiałością i spokojem anielstwa.

Łusia zaledwo mogła zamknąć drzwi przed samymi dzióbami natrętów, skutkiem czego powstał jeszcze przeraźliwszy krzyk, gdakanie i syk obrażonej opozycyi.

Na żelaznej blasze kuchni stał garnek w trzeciej części napełniony gotowanemi kartoflami. Łusia pochwyciła go i wybiegła z nim na próg chaty. Okrzyki radości napełniały powietrze. Dziewczynka włożyła rękę w otwór garnka, pochwyciła garść kartofli i rzuciła je gromadzie, raz, drugi, trzeci, na cztery strony świata.

Kartofle rozdzielone i zjedzone, należało otworzyć kurnik, każda gromada wtoczyła się w swoją zagrodę, kury powskakiwały na grzędy.

Na ostatku, nie mięszając się wcale z motłochem, co po ziemi chodzi, sfrunęły gołębie a okrążając dzieweczkę, cicho, lecz z kokieteryą gruchały. Gołębie panowie, one nie jedzą kartofli, dlatego też dla nich Łusia ma schowane proso i z łońskiego roku trochę grochu.

Jeden szarawy gołąbek z czerwonem podgardlem sfrunął na ramię dziewczynki, dzióbiąc na jej szyi wiszące korale. Łusia go wychowała przez zimę, nosiła, chuchała, i wychuchała. Znali się dobrze i szczerze kochali, gołąb przyzwyczaił się do dziewczynki i w dzień zlatywał do niej i co dzień jadł z jej ręki proso i groch.

Słońce się zniżało czerwieniąc się. Łusia popatrzyła na słońce, pomyślała chwilkę, podrapała się z frasunku w głowinę, że aż chusteczka jej zsunęła się na bakier.

Co tu roboty, co tu roboty — szeptała udając nieszczęśliwą, a rada z tego była i kontenta. — Matusia poszli z jedynakiem, a teraz na jej głowie wszystko!

*) Gadziną w Krakowskiem nazywają drób.

— Nie było czasu na marzenia i kombinacye. Matusia gdzieś poszła, a o kolacyi ani słychu, ani dychu, tatuś wróci z pola i co będzie?

Pobiegła do chaty, rozniecila ogień, nastawiła wody, i zabrała się do skrobania kartofli, które już były do połowy uskrobane przez matusię. Obierała je dalej raźno nucąc sobie piosneczkę o Jasiu, co pojechał na wojenkę. Zamiast Jasia, chciała śpiewać Stasia, tylko nie śmiała, a nużby kto podsłuchał, a nawet matusia, i cóżby wtedy było.

Nie długo skrobała, dzwonki wracającego dworskiego bydła łechtały jej uszy odgłosem swym. Dziewczyna nie mogła usiedzieć w izbie, wyobrażając sobie dużo wesołości i uciechy na głównym gościńcu przecinającym wioskę.

Wracają z pola dziewuchy od siana, kosiarze z łąk, parobcy z pługami, a ona jedna w izbie przy kartoflach! weselą się, zbytkują a ona sama w izbie!...

— Ej co tam, wystarczy tych kartofli, pocieszyła się, wypłukała w cebrzyku obrane ziemniaki, odlała do połowy wodę z garnka, stojącego przy ogniu, wrzuciła weń kartofle, przystawiła do ognia, a sama poprawiwszy chusteczkę przed lusterkiem, wybiegła, usiadła na płocie i patrzała uśmiechnięta i szczęśliwa.

Przed jej oczami roztaczał się nie tak majestatyczny, jak pełen uroku widok. Wracające bydło poważne i zamyślone, obok niego weseli pastuszkowie uganiali na lewo i prawo, rozdzielając gromadzkie sztuki każde do swej zagrody, z czego powstało dużo hałasu, wykrzykników i dowcipu. Łusię aż porywało, żeby się przyłączyć do pastuszków, została jednak jako gospodarska córka na płocie, czekając cierpliwie na swoje krowy.

Przyszły, bramę im otworzyła i już przy bramie zatrzymała się zawieszona na jej przecznicach.

Przejechali parobcy z pługami, a Paweł nie wracał i matusi nie było widać. Za to już z daleka dawały się słyszeć śmiechy, śpiewki i gonitwy powracającej młodzieży od grabienia siana.

Łusia, bojąc się żartów i przycinków, schowała się po za płot, patrząc na powracających przez szpary. Przeszły Bartyzelki, Gofronki, Głąbówny i Koperne, a na ostatku szedł Staszek jakiś smutny i zamyślony. Żal się zrobiło dziewczynie chłopca, wychyliła się i cicho zawołała:

— Stasiu!

Staszek, się obrócił i stanął. Łusia kiwnęła na niego palcem. Staszek stał zarumieniony.

— A chodźże ino, matusi nie ma — szepnęła Łusia.

Staszek onieśmielony i zarumieniony, zbliżył się, wtedy Łusia wydobyła dwa jabłuszka z za gorsetu i dała mu je, rumieniąc się sama.

— Ej Łusiu i za cóż mi to dajesz — rzekł chłopiec spuszczając oczy.

— No weź, weź — mówiła dziewczynka — mam ja dosyć. A będziesz jutro na łące?

— Będę — odparł chłopiec, biorąc jabłka.

— No to bądź!

Mała kokietka odwróciła się i pędem pobiegła do chaty. Staszek poszedł drogą. Dziewczynce serce biło gwałtownie, lecz się uśmiechała i cieszyła. Staszek idąc drogą, my-

*

ślał o Łusi jak o księżniczce. Cóż, ona gospodarska córka, a on tyle co wyrobnik!

Paweł wjechał z bronami na dziedziniec i robił porządki. Łusia dalej kartofle skrobała do drugiego garnka. Wróciła matusia z jedynakiem, była u podwójciny na gwarce, przyszedł gospodarz, zawiesił kosę, i siadł poważnie przy ognisku.

— Niedługo zapalono gaz,*) przywołano parobka. Gospodyni wróciła z mlekiem od doju, i wszyscy razem zasiedli do kolacyi a Łusia na stole, bo jeszcze mała, i dalekoby jej było sięgać do miski.

Po kolacyi posiadali na przyźbie, parobek wyjechał z końmi na trawę, fujarki tęschno odezwały się z dala, i w sercu zrobiło się jakoś rozkosznie, jak w naturze cicho!

(C. d. n.)

*) Tak lud nazywa naftowe lampki.

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

Tadeusza Korzona.

VICO

III.

Uwagi krytyczne.

(*Ciąg dalszy.*)

Żeby wydostać pierwiastek naukowy z tej mięszaniny świetnych pomysłów, genialnych przeczuć i naiwnych, dziecinnych prawie błędów, nazwanej „Nową nauką“, widzimy potrzebę obejrzeć: 1. materyał, jakim mógł rozrządzać Vico; 2. naturę jego umysłu i sposób zużytkowania materyału; 3. zaznaczyć, które mianowicie myśli i wnioski jego mają wartość przy dzisiejszym stanie wiedzy.

Co do 1go. Z przytoczeń oraz z autobiografii widzimy, że fakta historyczne znał z następnych źródeł: Herodota, Tucydydesa, Liwiusza, Cezara, Tacyta, św. Augustyna, Hieronima i kilku kronik średniowiecznych (Symforiona, Camperio, Annales Bojorum, i może jeszcze parę innych). Na rozbudzenie w nim ducha krytycznego mogły wpływać niektóre monografie historyczne, ukazujące się w owym czasie, szczególnie zaś Samuel Bochart swoją krytyką negacyjną podania o Eneaszu. Dzieło Bocharta (De quaestione, num Aeneas nunquam fuerit in Italia Harub. 1672.) było mu znane. Prawo studyował starannie podług Corpus iuris Justyniana i w tej sferze miał możność nabycia najdokładniejszych wiadomości, dzięki starannej uprawie prawa rzymskiego we Włoszech już od XII wieku; sam też ubiegał się o katedrę poranną początkową (Primoria Mattutino) w uniwersytecie neapolitańskim. Znani mu też są wszyscy sławniejsi prawnicy: Gravina, Cujacius, Gronovius, Thomasius, Oldendorp, Budeo, Paolo di Castro, nareszcie Selden, Hugo Grotius i Puffendorf. Z poetów wymienia Homera, Wirgiliusza, Horacego. Z geografów: Strabona; matematyki, Teokryta, Sannezzaro, a szczególniej astronomii nie znał tak dalece, że nie był w stanie zrozumieć prac chronologów Scaliger'a i Petowiusza. W rezerwie miał jeszcze Biblię, ale nie używał jej prawie do swych wywodów i zdecydowawszy raz, że Hebreowie byli osobnym gatunkiem ludzi, nie zajmuje się nimi wcale. Oto i cały materyał, którym mógł rozporządzać przy wyciąganiu wniosków indukcyjnych. Można cały ten ładunek sprowadzić ostatecznie do znajomości historyi świata klasycznego, przeważnie Rzymu. O historyi nowożytnej wie bardzo mało, o Wschodzie wcale nie ma wyobrażenia, boć prace egiptologów, sinologów, assyryologów zaczęły się dopiero od Champolliona, Layarda, Botty a dziś jeszcze nie są ukończone. Nie dziw więc, że mógł nazwać pierwotne dzieje ludów wschodnich posiadłością niezajętą, niczyją (res nullius quae ceditur primo occupanti).

Przy szczupłym zasobie wiedzy faktycznej posiadał Vico rozległe i znakomite wykształcenie filozoficzne. Zacząwszy swe studya w młodym wieku na wykładach Jezuitów, szczególnie na dziele Suareza i Ricarda, poznał później Arystotelesa, Platona, Cycerona, Epikura w wykładzie Gassendiego, Augustyna, Descartes'a, Locke'go, Malebranche, Pascala, Bakona Werulamskiego oprócz włoskich np: Pico di Mirandelo, ale najbardziej upodobał sobie trzech pisarzy, których, jak sam powiada, postanowił zawsze mieć na oku przy rozmyślaniu i pisaniu o kwestyach filozoficznych, byli to Plato, Tacyt i Bakon; ponieważ pierwszy przedstawiał człowieka, jakim być powinien, drugi, jakim był w istocie, a trzeci uporządkował cały świat nauk Uznawał całą ważność metody indukcyjnej i szczerze pragnął wykonać bakonowską zasadę: cogitare videre. Dodać winniśmy, że skutkiem wychowania i otaczającej sfery, kombinacye i wnioski naukowe Vico musiały ulegać wpływowi teologii katolickiej. Dostrzedz się daje nawet w umyśle jego walka zasad naukowych z teologicznemi, np. przy zestawieniu energicznie zaakcentowanej tezy XIV o zależności wszystkich rzeczy ziemskich od warunków naturalnych z VIII. o łasce bożej. W wielu miejscach znać obawę, żeby teorya o niezmiennem następstwie jednakowych pojawów w historyi, o niewzruszonych prawach, którym ludzkość ma podlegać, nie stanęła w sprzeczności z owoczesnemi pojęciami o wszechmocy Bożej i łasce. Prócz własnego sumienia, musiał oglądać się na cenzurę duchowną, boć dzieło jego nie inaczej mogło być wydrukowanem, jak po złożeniu konsystorzowi przychylnej opinii niejakiego X. Tornusa i powtórnem jeszcze przejrzeniu przez niejakiego dra X. Chiajesa. Nie dziwno więc, że usiłował swojej „Nowej nauce“ nadać cechy rozumowanej społecznej teologii

Co do 2go: przy wrodzonym a przez studya przeważnie rozwiniętym darze spekulacyi filozoficznej, przy niepospolitej zdolności uogólnienia, sprowadzenia różnorodnych pojawów do jednej zasady, jak to widzimy już w jednej z pierwszych prac jego (De Universi Juris uno principio), przy wielkiej żywości, bystrości umysłu, dochodzącej częstokroć do jasnowidzenia, do wieszczych przeczuć i natchnień, Vico posiadał potężne narzędzia do pochwycenia wybitniejszych cech historycznego rozwoju, do nakreślenia głównych skrętów rzeki dziejowej. Ale z jakiemiż trudnościami musiał pasować się umysł jego, gdy cała jego wiedza dostarczała mu lada jakich wskazówek do końca starożytnych i części średnich wieków, gdy ani początku ani końca tego skomplikowanego dramatu dojrzeć nie było podobna. Ludzie praktyczni, rozsądni, to jest obdarzeni rozsądkiem powszednim byliby się cofnęli przed trudnością a raczej niemożliwością zadania, jak to dziś jeszcze czynią historycy fachowi, ale Vico trawiony pragnieniami twórczego ducha, gnany podmuchami geniuszu (sam używa tego wyrazu w autobiografii), odważył się na zbudowanie teoryi, odwołał się (w dedykacyi) do wszystkich akademii europejskich i tak głęboko uwierzył w prawdy „Nowej nauki“, że jej granicami zakreślił granice rozumu ludzkiego. Naturalnie, że mu wypadło wypełnić wszystkie luki niedostatecznej wiedzy kombinacyami spekulacyjnemi, brak faktów zastąpić rozumowaniem, wywodem analogicznym, lub hypotezą, że zatem warunki położenia zmusiły go do zerwania równowagi w formule Bakonowskiej pomiędzy myśleniem a spostrzeganiem, że mu wypadło daleko więcej cogitare niż videre.

3. Tablica i objaśnienia chronologiczne oparte na tradycyi hebrajskiej a głównie „na sile intelligencyi a bez udziału pamięci“ nie ma dziś żadnej wartości, ponieważ księgi hebrajskie jakkolwiek zawierają drogocenny materyał dziejowy, mogą atoli być wyrozumiane i uregulowane tylko przy zestawieniu z danemi po innych ludach pozostałemi. Rachuba zaś chronologiczna hebrajska w znacznie późniejszych czasach, bo nawet w świetnej epoce pierwszych królów Saula, Dawida, Salomona dokładną nie jest, składała się bowiem z cyfr cyklicznych, z 40-letnich okresów (przypuszczalnej długości życia pokoleń), nawet w późniejszych czasach królestw judzkiego i izraelskiego jest jeszcze pogmatwaną. Daty więc potopu lub stworzenia świata nie mogą być poczytywane za dane chronologiczne.*) Nareszcie nauka, której Vico jeszcze nie przeczuł, a która rozwinęła się wspaniale dopiero w XIX wieku, mianowicie geologia, podaje całkiem inną historyą kuli ziemskiej i znacznie większe zakreśliła dla niej granice czasu. Pomysł Vico o pierwotnej rachubie na żniwa, oparty na pochodzeniu wyrazu Saturn a satis nie został dotychczas usprawiedliwiony przez historyczne fakta, najdawniejszą bowiem rachubą podług chronologów były miesiące i lata księżycowe, noce i zimy.*) Ztąd i zarzut uczyniony Skaligerowi i Petowiuszowi jest wcale niewłaściwy, oni bowiem stali na gruncie prawdziwie naukowym i prace ich zostały przez późniejszych chronologów zużytkowane, Vico zaś budował na fantastycznej podstawie, która już niepowrotnie runęła wraz z całym jego gmachem chronologicznym. Podług dzisiejszej wiedzy tablica jego chronologiczna musi być wywróconą na nice w ten sposób: 1. Egipt pod Menesem około 3892 przed Chr.; 2. Chaldea od 2286; 3. Państwo Aryów w Indyach od 1600; 4. Hebreowie w Palestynie około 1300; 5. Assyrya przed 1440*).

Nietrafną też jest hipoteza o podziale rodzaju ludzkiego na Hebreów i olbrzymów. W muzeach: berlińskiem, brytańskiem, w Luwrze, można oglądać całe szkielety Egipcyan i Chaldejczyków z najodleglejszych historycznych czasów (szczególnie szkielety, pochodzące z grobów glinianych kształtu misy w Hugheir.) Nie różnią się one rozmiarami od dzisiejszych ludzi. W czasach przedhistorycznych, zdaniem przyrodoznawców, trudniących się antropologią przedhistoryczną, ludzie musieli być chyba mniejsi od ras dzisiejszych, jak to wskazują małe czaszki pozostałe po kopalnym człowieku w najstarożytniejszych

*) Lepsius, Chronologie der Aegypter I. 316—388.

*) Ideler, Handbuch der Chronologie, Waitz, Deutsche Verfassungsgeschichte I. 35.

*) Lepsius, Chr. d. Aeg. I, 499, 360—388, Rawlinson The five great monarchie ed. 1872 I. 171, II, 49 etc.

tniejszych grotach trzeciorzędowych formacyi w Engis i Neanderthal.

Wraz z główną hypotezą upadają naturalnie i dalsze wywody, o zdrobnieniu ciała olbrzymów skutkiem srogości ojców i mycia się. Tak tedy całkowicie wykreślić wypada z rozdziału 1. tezy XXVI, XXVII, oraz odnośne ustępy wykładu. (C. d. n.)

WIARA W DUCHY

ZA NASZYCH CZASÓW

napisał

B. Kiewlicz.

(*Dokończenie*).

Żeby się przekonać, w jaki nielogiczny i nienaukowy sposób, potrafią rozumować ci panowie, pomimo tego, że w pewnych kierunkach mają znaczne wykształcenie, przytaczamy tutaj opis jednego takiego „psychicznego“ zjawiska: „Widziałem — powiada p. V. — jak w biały dzień mały stolik, do którego nikt się nie dotykał, podnosił się w górę i potem płynął w powietrzu przez 10 stóp; kilkakrotnie także widziałem jak się podnosił wielki stół, zatrzymywał w powietrzu i poruszał w kierunku, w którym go o to myślami prosiłem. Przy tem doświadczeniu nie tylko objawiała się nowa siła, lecz oprócz tego, słuchała ona mojej niewypowiedzianej głośno prośby, ażeby mię przekonać, że jest obecną „inteligencya, która czytać mogła moje myśli“ i t. d.

Słusznie powiada Carpenter, że są rzeczy na świecie, na które najlepszą bronią jest śmiech i sarkazm, bo służą one do powstrzymania rozszerzającego się błędu. Mogliśmy na seryo przypatrywać się niektórym zjawiskom, które dotąd podciągano pod spirytystyczne objawy, mogliśmy wyszukiwać objaśnienia tych zjawisk i wykazywać, że one są zupełnie naturalnemi; lecz jeżeli żądają od nas byśmy wierzyli w podnoszenie się stolików do góry, w siłę duchów, które umniejszać mogą ciężar przedmiotów, to na takie pytanie nie odpowiada się długą dyskussyą, lecz najprostszem odwołaniem się do rozsądku. Co jest rzeczą prawdopodobniejszą: czy to, że te cuda rzeczywiście się pokazują, czy też to, że świadkowie tych cudów są oszukani przez własną wyobraźnię.

Historya takich złudzeń epidemicznych daje taką liczbę przykładów, tyle już panowało w ludzkości najbezpodstawniejszych pojęć, że ci, którzy się zechcą oznajomić z historyą tego rodzaju obłędów popularnych, z łatwością zdołają przeprowadzić paralelę do obecnego spirytyzmu. Jeszcze przed paruset laty, świadkowie zaprzysiężeni przyznawali przed sądem, że czarownice latają po powietrzu i na szczytach gór wyprawiają bezbożne orgie wspólnie ze złymi duchami, grającymi rolę ich zmysłowych kochanków. Ba! nawet sami oskarżeni przyznawali się do popełnienia tych czynów i szli na stos z odwagą bohaterską męczenników, ginących za prawdę. Jeżeli zaczniemy rozbierać te rzeczy rozsądkiem, to może się uspokoimy znanem powiedzeniem dra Johnsona, że: *„nic nie dowodzi nieistnienia czarownic“*, albo też wnioskiem jednego z największych tegoczesnych logików, profesora A. de Morgana, który się poświęcił tak wyłącznie nauce o rozwoju poznania, że stał się niezdolnym do praktycznego ocenienia wartości świadectw i powiedział że: — „nauka spirytystyczna ma więcej praw do ogólnego jej przyjęcia, niż którekolwiek z tysiąca i jednego objaśnień, które możnaby było do tych zjawisk zastosować“.

Jeżeli się przypatrzymy łatwowierności, z którą nietylko publiczność na zachodzie, lecz wielu takich, którzy są znanymi badaczami nauki, przyjmuje naukę spirytyzmu, to nasuwa się pytanie, co jest główną przyczyną tej umysłowej epidemii? I jeżeli przeprowadzimy paralelę pomiędzy stanem umysłowym klas, które *najwięcej* od niej ucierpiały, a tymi które *najmniej* zostały dotknięte, to przyjdziemy do przekonania, że najwięcej do tego usposabia brak wczesnego wykształcenia naukowego. Jest to brak wprawy w dokładnem obserwowaniu zjawisk, brak zdolności rozsądnego objaśnienia zjawisk, nieumiejętność robienia doświadczeń i nieumiejętność wyprowadzania logicznych wniosków.

Z zupełną słusznością można twierdzić, że jeśliby w szkołach dziesiątą część czasu poświęcanego zwykle na abstrakcye, oddano na wykształcenie daru kierowania zdolności umysłowych na objektywną rzeczywistość, to nie przyniosłoby to wcale szkody innym naukom, a natomiast nauczyłoby młodzieńca cennego daru pojmowania rzeczywistego znaczenia abstrakcyi. Otóż właśnie przekonywamy się, że właśnie ci uczeni, którzy zajmują się czystą nauką, pracą gabinetową, których duch wprawia się jedynie prawie w abstrakcyach, najłatwiej podpadają zwodniczej nauce spirytyzmu; różnica między realną rzeczywistością a tworami ich własnej wyobraźni jest zwykle bardzo źle określoną; a jeżeli prawdziwa nauka powiada, że ich świadectwa nie są wiarygodnemi, to odtrącają to ze złością.

Z drugiej znowuż strony ogólną jest regułą, że ludzie, którzy otrzymali wykształcenie, o którem wyżej mówiliśmy, nie poddają się łatwo nowej epidemii, i jeśli nawet raz ulegną, to prędko znajdują siły do wycofania się ostatecznego.

Spirytyści są mocno oburzeni na „cech“ uczonych, którzy się śmieją z ich „świętej“ sprawy, a nie starają się jej zbadać. Wznieśli się już nawet aż do litości nad biednymi śmiertelnikami, którzy zwykle pokazują.. plecy objawieniu duchów. Natomiast wynoszą pod niebiosa tych „uczonych,“ którzy się z pod nacisku opinii wyrwali. W rzeczy samej, bardzo jest mało powodów do irytacyi. Już bardzo wiele razy rozmaici uczeni i nawet komisye naukowe badały te duchowe zjawiska i uznały je za urojone. Nawet takie znakomitości naukowe jak Tyndall i Faraday, chcieli robić doświadczenia, lecz naturalnie w warunkach przez siebie postawionych. Jednak stawienie tych warunków oburza duchy, a więc ich wywoływacze nie mogli się na to zgodzić. Duchy uciekają od niedowiarków, a siła mediów ginie w ich obecności. A więc kto chce wierzyć, musi swój niedowierzajacy rozsądek zostawić w domu.

Temu przepisowi mogą zadość uczynić jedynie ci, którzy mało rozsądku posiadają. Jak długo spirytyści nie będą uznawali zupełnej swobody w rozumowaniu, i będą unikali najdokładniejszych badań naukowych, tak długo nie mają nawet ani śladu prawa żądać, aby świat uznał ich naukę, i tak długo wszyscy ich przeciwnicy są upoważnieni do przyjmowania, iż nauka ta jest czystem złudzeniem. Im zjawiska są dziwniejsze, tem więcej potrzeba takich ścisłych doświadczeń.

Spirytyści podnoszą zwykle to, że już wielu niedowiarków przeszło do obozu spirytystów, a jednak żaden spirytysta nie wyrzekł się nowej wiary. I rzeczywiście to może być prawdziwem, jednak ten fakt może mieć i inne tłumaczenie, niż spirytystyczne. Kto się przekonał o swym błędzie, nie wystawi swego głupstwa na pręgierzu a wszystkim na widowisko. Woli wtedy milczeć i wstydzić się w cichości.

Jak to już kilkakrotnie podnosiliśmy, świadectwa stawiane na potwierdzenie różnych dziwnych zjawisk są zwykle niewiarogodnemi. Jednak są niektóre wypadki, które najzupełniej są prawdziwe, a jednak wychodzą po za obręb zwykłych naszych pojęć — mają charakter cudowności. Są to wypadki przewidywania rzeczy przyszłych, odgadywanie rzeczy nikomu nieznanych i tp. Bacon zauważył zupełnie słusznie, że *vota* rozwieszone po kościołach nie dowodzą wcale o ogólnej skuteczności modłów do bóstwa, gdyż są one tylko wtedy ofiarowywane, gdy modły zostaną zaspokojone. Za modlitwy niewysłuchane nikt nie ofiaruje darów. Otóż to samo możemy zastosować i do tych trafnych wypadków przewidywania, które się zdarzyły na tysiące innych najzupełniej kłamliwych, i nie dowodzą wcale, że przewidywania spirytystyczne są w całości coś warte. Tych kilka znanych wypadków da się wytłumaczyć zwykłym przypadkiem, bynajmniej nie kierowanym jakąś wyższą inteligencyą.

Naukową wartość miałaby tylko wielka ilość przykładów, któraby dała możność ocenienia wiele razy przewidywanie się spełniło, a wiele razy nie.

Jakże się to dzieje, że w naszych czasach, w krajach tak cywilizowanych, jak Anglia, Ameryka, mogła wiara w duchy powstać na nowo i grasować, rozmnażając się co dnia kolosalnie. W jaki sposób mogli do jej prozelitów wstąpić ludzie, poświęcający się nauce i zajmujący w niej wybitne stanowisko. Fakt ten jest zagadką cywilizacyjną, która jednak nie jest zbyt trudną do rozwiązania. Materyalizm przyrodniczy coraz bardziej staje się w tych krajach sprzecznością z przekonaniami religijnemi w tłumach nawet mało ukształconych i coraz szersze obejmuje koła. Umysły nie znajdują w tej chwili przejściowej odpowiedniego wyrównania. Materyalistyczny brak wiary nie zadowalnia umysłów przywykłych do wierzenia, i to jeszcze do jakiego wierzenia. Wszystko to popycha do utworzenia sobie, w miejsce dawnych bogów, jakiego nowego ideału, jakiejś nowej nadprzyrodzoności, któraby dawną zastąpiła.

Mamy tu przed sobą nowy przykład, jak niezadowolenie nieuniknionej naturalnej potrzeby wierzenia w coś prowadzi ludzkość na manowce i każe mu wierzyć w przesądy.

Kto nie ma wiary, ten potrzebuje mocnego i wypróbowanego rozsądku i silnych podstaw naukowych.

Koniec.

MODLITWA.

Boże! Ojcze nasz! Ty, którego wolą
Świat ten oddycha — dolą i niedolą,
Usłysz Twych dzieci wołanie!
Wszechmocny Boże łaski i miłości!
Potężny Ojcze światła i wolności!
Błogosław nam Panie!

Patrz! jak rozpiera karłowate łona
Nikczemna bogactw żądza, zaprawiona
Na ludzkich łez oceanie!

Więc takim, którym chleb czarny ozłaca
Swoboda ducha i uczciwa praca
Pobłogosław Panie!

Patrz! by nasycić swe chuci nieprawe,
Jaką nam szerzą ohydną niesławę,
Zepsucie i rozpasanie!
Więc tym, dla których dobrej woli tchnienie,
I obowiązek — sędzią — i sumienie,
Pobłogosław Panie!

Patrz! samoluby, lodową powłoką
Pierś uzbroiwszy, jak siedli szeroko,
Na bratnim życia rydwanie!
Więc tym, co zakon Twój spełniają wiernie,
Tym, którzy dzielą bliźni ból i ciernie,
Pobłogosław Panie!

Patrz! jak nas siła wraz z pychą niegodnie
W mrok opowija i zasiewa zbrodnie,
Rozbrat i prześladowanie!
Więc tym, co jasnym sztandarem migocą,
Co walkę wiodą z gwałtem i przemocą,
Pobłogosław Panie!

Patrz! jak wśród ludu, Twoje święte Imię
Idzie na frymark! i jak w guseł dymie
Lęgnie się wiary konanie!
Więc tym, co czystą prawdę Twoją głoszą,
Tym, co do Ciebie czystą dłoń podnoszą,
Pobłogosław Panie!

Boże! Ojcze nasz! Patrz! jak pierś rozdartą
Matki, nam siecze, z wściekłością zażartą
Wroga miecz i urąganie!
Więc pracę, mienie, łzy i krew i blizny,
Żywot — oddane dla szczęścia Ojczyzny,
Pobłogosław Panie!

M. Rodoć.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

— Jabym ci może i poradził... rzekł po długiej pauzie.

— E!... — wykrzyknął Mikołaj niedowierzająco.

— Miałbym środek niezawodny...

— Zlituj się! będę ci wdzięczny do śmierci! — i zbliżył się chcąc go objąć w ramiona. Florek się usunął od uścisku przyjaciela.

— Oho, wdzięczny! wdzięczny! Darmo nic — ciężkie czasy.

— Mój Florku! — błagalnym tonem „czulił się“ Mikołaj.

— Felietonista patrzył na niego z ironicznym uśmiechem.

— Mój! mój! — i kokietował go najsłodszą minką, całując nielitośnego w powietrzu. — Jabym dla ciebie wszystko zrobił, cobyś tylko zażądał!... Może ty potrzebujesz pieniędzy? Powiedz, ile chcesz?... sto?... dwieście?...

— Ho! ho! — zaśmiał się Florek żółciowo.

— No, powiedz, mój drogi tylko powiedz!... Ale kapitan kości mi nie połamie?... Trzysta... no, mało?... pięćset dam!

— Hojny jesteś; twoją skórę i całość twoich kości oceniłeś na pięćset guldenów!... Czyż nie domyślasz się, że tu potrzeba kogoś takiego wyszukać, ktoby się podjął roli konduktora?...

— Konduktora?

— Ale nie konduktora omnibusu lub kolei żelaznej... lecz konduktora... na dachu, któryby piorun, co ma spaść na twoją głowę, ściągnął na siebie..

— Aaaa!

— Tej roli nie łatwo kto się podejmie, — taki piorun zdruzgotać człeka może. Każdemu życie miłe.

— Hm, hm, hm... No, ale przecież za pięćset guldenów... Ot, Walenty da się zbić na kwaśne jabłko z pocałowaniem ręki i za pięćdziesiąt.

— Co za Walenty?

— Mój lokaj...

Florek wzruszył ramionami.

— Mikołajku, zgłupiałeś widocznie!... Przecież tu potrzeba kogoś, ktoby potrafił pannę zbałamucić, a przynajmniej skompromitować — tak, żebyś ty był zwolnionym z danego słowa... Cóż tu poradzi twój Walenty?

— Aha! rozumiem!

— I to w przeciągu tych dwóch tygodni.

— O, to się nie uda... Ja ją znam! Ty nie wiesz jaka ona. To lód nie dziewczyna.

— Już to moja rzecz; jabym takiego wyszukał.

— To się nie uda. Choćbyś takiego konduktora znalazł, któryby pannie głowę zawrócił — to panna ma rozum a boi się ojca jak dyabła; nie zaawanturowałaby się tak dalece...

— To też tak trzeba zrobić, aby panna została skompromitowaną mimowoli...

— Mimowoli?... Dobrze — ale jak to zrobić?

— Jabym wiedział jak.

— Ach, mój drogi! zrób to dla mnie — zlituj się! Dam natychmiast pięćset guldenów!

— Ba! wielkie rzeczy! Zastanów się, że ten co ją skompromituje, narazi się nietylko na pierwszy impet wściekłości kapitana, ale kapitan go niezawodnie zmusi, aby się z córką ożenił...

— No, to i cóż za nieszczęście? panna młoda, ładna, dobra...

— To żeń się z nią.

— Kiedy bez posagu!

— To też każdy o tem wie i powie tak jak ty. Nikt się bez posagu nie ożeni. Tobie jeszcze łatwiejby to przyszło niż drugiemu, bo masz Wólkę, ale np., gdybyś mnie kazał — czemżebym ją wyżywił? powietrzem? atramentem?

— Ty?... to ty, tybyś... — zawołał z największem zdziwieniem Mikołaj, jakby się ze snu obudził.

— Ja, albo nie ja, o to mniejsza.

— Ehe! wylazło szydło z worka! To tobie samemu zachciało się Dziuni i zamyślasz być tym konduktorem, a w dodatku ja mam ci jeszcze posag wypłacić!

— Ani mi się śni. Piękny to mi zresztą posag: pięćset guldenów!

— Lepszy rydz jak nic. Nie tłumacz się daremnie: już ja z twej miny widzę, że to ty masz być tym konduktorem.

— Myśl sobie, jak ci się podoba, ale jeśli chcesz wyleźć z kłopotu...

— W który mnie ty sam pewnie wprowadziłeś!... Jam nie taki niedomyślny, jak ci się zdaje. Toś ty napisał ową korespondencyę z Jasła! To jasne jak na dłoni! Nic z tego, mój paniczu!

— Dobrze! To żeń się — albo niech ci kapitan kości pogruchocze... Co mi tam do tego! Ja umywam ręce. Bywaj zdrów.

— Hm... nie gniewajże się. Czekajno chwilkę...

— Nie mam czasu. Jeśli chcesz, abym ci nie dał utonąć — to zastaniesz mnie zawsze w domu o trzeciej.

VIII.

— Porwali nam pannę, panie Floryanie, porwali! — westchnął p. Antoni, mrugając oczyma i kiwając łysą głową. Malina jak czeski granat błyszczała mu na czole.

— Jakto „nam“, panie dyrektorze?

— No „nam“, młodzie... to jest nam, kawalerom. Hę panie, szkoda jej było dawać za takiego Mikołajka! Cóż, czy nie szkoda?

— W samej rzeczy — głucho odpowiedział Florek, zwieszając głowę na piersi.

— Alež pan z nim podobno w przyjaźni, panie Floryanie? co?

— Zażyłość z czasów szkolnych nie jest jeszcze przyjaźnią.

Pan Antoni potarł dłonią łysinę, wyciągnął srebrną tabakierkę z kieszeni i zażył szczyptę dla osłodzenia sobie przykrego zawodu, jaki go dotknął wraz z tyloma innymi wielbicielami Dziuni i jej spodziewanych sukcesyjek.

— Hm, hm! Nie mogłoż to dziewczę lepiej pójść zamąż? co?... A mająteczek kiedyś będzie nie bagatelny. Czecieczewicz ma pieniążki — oho! suto ma kabzę wypchaną. A zawsze ile razy nową obligacyę kupi w banku, to powtarza skromnie: to będzie dla mojej wnuczki!... A i ta Kartofelka po ciotce coś warta... No, i nie szkodaż to, że się to w takie ręce dostanie!... To niedołęga i utracyusz... Co? A jaki impertynent! co? — gbur! nieznośna figura! co?

— Możebyś pan dobrodziej przestrzegł kapitana...

— A tak — chciałem go przestrzedz przed takim zięciem... to jest nie ja sam, bo z mojej strony nawet nie wypada, ale Czecieczewicz mówił mu... Cóż, na nic się nie zdało. Węgrowi zajechała w głowę Leśna Wólka! szlachcic — i koligacya!... Sensu nie ma! co?

Wdzięczna malina na czole pana Antoniego z różowego koloru przechodziła w karmazynowy, mały nosek kurczył się i siniał, powieki mrugały nieustannie.

— Więc pan kapitan zadowolony z tej partyi? — zagadnął Florek.

— Ale! zdaje mu się, że Pana Boga złapał za nogi. Co?... A całej tej „chryi“ narobił wasz dziennik tą fałszywą wiadomością o testamencie Czecieczewicza. Tego samego dnia, kiedy wyczytał pan Mikołaj o mniemanej sukcesyi panny Wandy, oświadczył się.. Cha, cha, czy pan myślisz może, że on zakochany? Ani mu to w głowie! Jemu tylko o sukcesyą idzie.

— A inni toby się wszystkiego zrzekli, byle pannę mieć — dorzucił Florek niby od niechcenia.

— Co? No, to znowu wątpię... Po coby się mieli zrzekać? Jabym się nie zrzekł.

— Nie?... Ot, mnie np. jeden z wielbicieli panny Wandy mówił wczoraj, że gdyby mu kto podał sposób odsadzenia Mikołaja i pomógł uzyskać rękę panny, toby się mu kontraktem notaryalnym zobowiązał odstąpić trzecią część spodziewanej sukcesyi...

— Kto to taki? kto? — Wacio? co? Kostuś?

— Aa, to tajemnica!

— Ha, ma rozum, dalipan! Jabym sam chętnie taki kontrakt podpisał. Trzecia część! trzecia część! bądź co bądź dobry interes.

— Dla tego kto pannę weźmie, czy dla tego kto weźmie odstępne?

— I dla jednego i dla drugiego. Ha, ha! co?... Cóż, kiedy Mikołajka nikt nie odsadzi...

— Kto wie... a gdyby się znalazł sposób, pomógłbyś pan?...

— Co?... sposób?... czemu nie!... co?... ciekawym strasznie!

I wypukłe źrenice pana Antoniego mało nie wyskoczyły z orbitów, przytrzymywane tylko nieustannem mruganiem powiek.

Florek dodał po chwili namysłu:

— No, ale i mnie musiałoby się coś przy tem okroić w procencie...

— Hę, hę, hę! — śmiał się pan Antoni — Co?.. naprzykład?

— Od pana dyrektora dobrodzieja zależy obsadzenie posady sekretarza przy banku...

— Eh, niekoniecznie odemnie... nie wiem .. konpetentów tylu... ja już prawie przyrzekłem...

— Wszak mówimy seryo, panie dyrektorze?

— A dobrze, dobrze, co? mówimy seryo! cha, cha!...

Otworzył pan Antoni usta, oczy mrugały z podwójną szybkością.

— Daj mi pan dobrodziej słowo, że jeśli Mikołaj nie ożeni się z panną Wandą, to ja otrzymam tę posadę.

— Hm, chyba przez ciekawość... Mógłbym się zobowiązać, bo wiem, że się panu nie uda Mikołajkowi nogę podwinąć. Co?

— Więc o zakład idzie: daj mi pan słowo — a sprobuję...

— No, daję, daję, słowo honoru! — Ale powiedzże mi pan, kochany panie Floryanie, dla kogo to chcesz zrobić ten interes? bo to musi być ktoś bezpośrednio interesowany... Hm! jabym także dał trzecią część.. co? Dam więcej!... Co?... dla kogo?

— Ale dla nikogo! Ja się nie kuszę o to, aby kogo wyswatać: tej sztuki nie potrafię. Mnie idzie tylko o to, aby Mikołajek poszedł „z kwitkiem“, bo mam z nim „na pieńku“.

— O i ja! i ja! — i mimowiednie gładząc łysinę dłonią, pochwycił pan Antoni malinę palcami i trzymał ją jakby drogocenny jaki klejnot.

— Co? — zapytał po chwili nie wypuszczając z palców tego ornamentu. - co?... Dziunia... hm... powiedzże mi pan, to Dziunia byłaby wtedy znowu do wzięcia?...

— Zapewne... ale musiałbyś mi pan dopomódz w stanowczej chwili...

— Dobrze, no, dobrze, byle mnie to nie narażiło na żadne nieprzyjemności.

— Bądź pan dyrektor spokojny.

— Na żadne?... z kapitanem?

— Żadne.

— A to paradne! co? wyborne?..! Nieoceniony pan jesteś, panie Floryanie! co?

IX.

— Przyszła koza do woza! — mruknął pan Floryan sam do siebie pod nosem, widząc pana Mikołaja wchodzącego do jego pokoju. A było to już na kilka dni tylko przed oznaczonym dniem ślubu.

Mikołajek rzucił mu się w objęcia z niezwykłą serdecznością.

Florek chłodno odwzajemnił ten uścisk. Usta zacisnął i przymrużył oczy, aby nadać twarzy wyraz obojętności. Ale w głębi piersi serce skakało mu z radości. Biedny felietonista przez ostatnich kilka dni obawiał się już, że go stratagemata jego zawiodą. Chciał on sfałszowaną ową korespondencyą z Jasła doprowadzić Mikołaja do oświadczyn, w tej nadziei, iż następnie dowiedziawszy się, że stary Czecieczewicz żyje, zmuszony będzie stanowczo zerwać z domem kapitana i zaprzestać dalszych konkurów. Florek znał wybornie swego szkolnego kolegę. Wszystko dobrze ukartował i obliczył, z wyjątkiem tchórzostwa Mikołaja, które tegoż wstrzymywało od zerwania z kapitanem. Na tej skale mógł się rozbić cały plan. Dzień ślubu zbliżał się, Mikołaj się nie zgłaszał.

(C. d. n).

POGADANKI O WŁOSZECH.

(Dokończenie).

Komedyo- i tragedyo-pisarze są przykładniejsi, sumienniejsi i często nie braknie im na prawdziwym talencie, opartym na ścisłem badaniu, jeżeli nie teraźniejszego, żyjącego społeczeństwa, to staro-rzymskiego lub średniowiecznego; i o nich później w szczególności pomówimy, kiedy o teatrze wspomnieć nam wypadnie, o teatrze, który ma tu odrębne stanowisko nie takie jak w innych krajach i obszerniejszego opisu wymaga.

Obok tych samotwórczych objawów, płaskich i mętnych, tłumacze celują jasnością, dobrym wyborem i smakiem, jeżeli czystością języka grzeszą jak inni; a tłumaczy się we Włoszech obecnie zapalczywie. Niemieccy filozofowie, metafizycy, dziejopisarze, poeci, romansopisarze, naturaliści i strategiści, są tu wzięci na nieustanną torturę przez sto piór na raz; tłumaczeni, komentowani, poprawiani, często z korzyścią dla nich samych, coby wyznać powinni żyjący w swoim i umarłych imieniu, gdyby nie owa duma mocarzów świata umysłowego, na szablach pruskich oparta. Angielscy krytycy, ekonomiści, geologowie, filologowie, humaniści i najcelniejsi romansopisarze znajdują rozgłos, uznanie, tłumaczów oświeconych i sumiennych. Przez nieporozumienia narodowe, Francuzi stracili tu nieco na wartości i nie zawsze słusznie odmawiają im pod wpływem niechęci politycznej, zasług rzeczywiście wiekowych w ścisłych nawet naukach; tłumacząc zato podłe romansiska po pięć groszy tomik, które wydawnictwo medyolańskie Sonzogno wyrzuca w świat tysiącami, a za to powinnoby być jeszcze na tym świecie karane kołem i wodną męczarnią, ulubioną ich tyranom średniowiecznym; a na tamtym gdzieś głęboko na dno piekła pójdzie niezawodnie, kusząc taniością źle drukowanych i jeszcze nędzniej tłumaczonych ohyd. Ma się rozumieć, że pod wpływem mody o rosyjskich poetów poczynają się dopytywać, wyszukując pilnie po wszystkich narodach chcąc co o Moskwie choćby fałszywie się dowiedzieć; usiłują przedrzeć się przez niesłychaną trudność nazwisk, których wymówić nie mogą, równie jak tureckich; ale kto wie, z której strony wiatr zawieje, myślą oględnie na przyszłość; i czy długie ramiona obronicielki uciśnionych nie połączą się bratnim uściskiem przez Adryatyk i Egipskie morze; niechże choć Lermontowa i Puszkina na powitanie przetłumaczą; tylko bieda z tem pismem, którego długiemi latami wprzód uczyć się trzeba, a nim zaczną, może tymczasem znów wyjść z mody. Co do nas Polaków, mieliśmy tam kiedyś „Mikiewicza“ (o cieniu Adama!) ale co pisał, to Bogu wiadomo, jak go tu przetłumaczyć, kiedy nie wie się dokładnie jakiemi zgłoskami drukowany, rosyjskiemi czy gotyckiemi; innych głębokie ciemności okrywają; wszyscy razem jak w chłodniku litewskim rozmaite najprzeciwniejsze smakowi ingredencye, w nazwę Słowian „Slavi“, a patryarchą ich car, mamy zaszczyt być policzeni. Protestują aż do chrypki, świadcząc się dziejami, że co Lech to nie Kałmuk, a Warszawa nie Moskwa albo Niższy Nowogród, ale trudna sprawa! nie wybijesz im z głowy, chyba palcem domacają prawdy.

Życie publiczne za to jest bezprzykładne w naszym gorączkowym wieku zimnej krwi i oględności; starcia się partyi przeciwnych nie wyradzają się bynajmniej w burdy i kułaki; prawda, że się czasem tylko na śmiechu kończy, ale po przyjacielsku, prywatnie; na widowni publicznej znów do dawnego obozu powracając. Zmiany ministerstwa odbywają się z dobrą wiarą, że wszystkiego skosztować należy, aby się przekonać, iż cierpki pomidor zmięszany z odrobiną cukru, daje smaczny sosik, którym ministra spraw wewnętrznych zaprawić można; a reubarbarowy tort, w słusznej dozie podany, wybornie podziała na żołądek pana prezydenta rady państwa. Ów prawdziwie konstytucyjny rząd uczciwego i sumiennie pilnującego wiernego zachowania statutów króla Wiktora Emanuela, zostawiający jak w Anglii wolność zmięszania się przeciwnych żywiołów, podniesieniem ich do godności i odpowiedzialności administrowania państwa, utrzymuje żywotność, ruch; rozbudza czasem uśpione siły indywidualne, zaspokaja tlące żądze wyniesienia, mogące, jeżeli zbyt powstrzymane, szkodliwy wpływ wywrzeć na formę rządu; i wyrabia niejako krytykę narodu. Ostatnie wydalenie barona Nicotery ze składu gabinetu, przez niego prawie stworzonego, dowodzi, że opinia publiczna rządzi tu nie tyranicznie, ale rozsądnie; nie wywrócono całości wcale nie złej ministerstwa dlatego, że jeden z członków stał się niemożliwym do zniesienia, odprawiono go, widząc że do służby się nie przydaje. Wczoraj prawica, dzisiaj lewica niesforna, jutro może środek, jeżeli się uda skoncentrować, rozumnie rządzić będzie; zrobi coś dobrego, pochwalą; głupiego, wyśmieją prozą i wierszem; złego, odrzucą i odeszlą spokojnie do domu chować jedwabniki albo wina fabrykować. Burzliwe owe w małych zebraniach Włochy, są bardzo porządnymi posłami, niech sobie „Fanfulla“, co innych może nie widział, humorystycznie mówi co chce w swoich sonetach na pierwszej stronicy podawanych. Wielokrotnie osobiście przekonać się o tem mogliśmy będąc w Rzymie, uczęszczając z przyjemnością na posiedzenia Izby posłów i Senatu. Jeżeli wyłysiały areopag był czasem nudny i drzemał zamiast radzić, izba poselska posiadała mówców znakomitych, pełnych powagi i jasnego umysłu; krzyżowały się zdania przeciwnych obozów, słuchano ich cierpliwie z grzecznością ludzi dobrze wychowanych, a choć czasami jakiś z głębi dzikiej prowincyi pan poseł, splunie sobie na marmurową posadzkę z rękoma w kieszeni zatopionemi, to nie plwa na zasługi zmarłych jak pan Paweł de Cassagnac, co nie wart butów czyścić ostatniemu pachołkowi Thiersa nieodżałowanej pamięci.

Wiele, bardzo wiele jeszcze do życzenia zostawia wychowanie publiczne, bardzo w pierwotnym stanie się dotąd znajdujące, a szczególnie szkół wiejskich i niższych; w których mało się uczą i źle przygotowują do późniejszych nieco fantastycznie posklejanych nauk, gymnazyum i liceum. Szkoły, tak zwane elementarne, złożone

z czterech klas, są pod wyłącznym dozorem rad miejskich, i rząd zupełnie się nie mięsza do nich prawie, oprócz programu przedmiotów niezbędnych, aby uczeń później mógł przejść egzamin do klas wyższych. Nauczyciele oddani w ręce tych rad, są niesłychanie licho płatni, braknie im zachęty, wiary w przyszłą starość, którą spędzićby mogli spokojnie zasłużywszy na pensyą, a dotąd snem niepochwyconym to bywa, choć radzono przelotnie o poprawieniu ich losu. Gimnazyum i liceum równie jak uniwersytet i szkoły techniczne zostają pod dozorem ministerym oświecenia i wprost od niego zależą; instytut techniczny zaś do ministeryum handlu i przemysłu, zkąd powstaje wielkie zamięszanie ze szkodą uczniów, nauczycieli i przełożonych, nie wiedzących czasem jak im pukać należy w tej lub owej sprawie. Co miesiąc, co tydzień, ba! nawet co dzień, coś tam ujmują, dodają w programach, bez celu i porządku; męczą chłopaków, to znów na próżniactwo skazują; nieco skokami idzie ta nauka w wyższych szkołach, nie dosyć energicznie i wytrwale w uniwersytetach; za nadto w rękach osobistości a nie ogółu rady szkolnej spoczywa. Zdolności profesorów nie zawsze są dobrze wypróbowane, protekcya tu bowiem gra wielką rolę a nie prawdziwa zasługa; uczniowie czasami za wiele wolności przez to używają, to znów za ciasne więzy ich krępują. Szkoły przygotowawcze do marynarki lub służby wojskowej nużą ciało, a mało rozwijają ducha, choć łaciną szpikują biednych kadecików od 7mej rano do 9tej wieczór bez ustanku, jak o tem wiemy z ust samych przełożonych. W składzie przeszłego ministeryum, Ruggiero Bonghi, minister oświecenia, był człowiekiem wielkich zdolności; zamyślał wprowadzić korzystne zmiany, których projektowane szkice pozostały; ale neapolitańsko-florencka klika nie dozwoliła mu ich w życie wprowadzić, skończyło się znów na lekkich bezowocnych zmianach. Teraźniejszemu jego następcy, Coppino, braknie energii, szerokich znajomości; prawdopodobnie nic nie zrobi, choć się będą w izbie upominać nieliczni zwolennicy przymusowego wykształcenia, i przez długie jeszcze czasy wychowanie we Włoszech stać będzie niżej od innych krajów; a szkoda, bo nie braknie tym odrodzonym wnukom ni talentu, ni chęci do nauk, jak tylko wyjdą z dzieciństwa.

O teatrze, muzyce, handlu i przemyśle, równie jak o sztukach i wewnętrznem życiu, obyczajach i zwyczajach, pomówimy w następnych gawędach, służyć mających do ściślejszego rozglądnienia się w krainie „gdzie cytryna kwitnie“; przebiegając koleją, powozem, lub pieszo, po wsiach, miasteczkach, ulicach, pałacach, zbiorach i rękodzielniach; a jeżeli łaskawy czytelnik użyczy nam cierpliwego ucha, pobłądzimy razem po wybrzeżu morza, zielonych dolinach i wzgórzach kwiecistych; wglądniemy w serca ludu, duchowieństwa, uczonych, handlarzy, obrońców ojczyzny... i pięknych córek Ewy.

Pogadanki te są owocem długiego pobytu i ścisłego przestawania z narodem, w którym znaleść mogliśmy odblask ojczystej przyjaznej gościnności; a na łonie pięknej zawsze natury spokój i wypoczynek po długich wędrówkach po ziemi, niebie i piekle; z narodem co zwyczajną koleją wypadków żywota ludzkiego, odwiedzający, co doprostej sieczki pierwotnych wiadomości, mozolnie i skrzętnie, rozbijając się po drodze o liczne przeszkody, dodali odrobinę mózgu.

Tej odrobiny używamy na bezstronne opisanie Włoch niezawodnie znanych większej części czytelników; gdyby się znalazł ktoś, kto by z większą od naszej odrobiny zdolnością podjął się nie ciężkiego zadania taką pielgrzymkę wśród dziejów i kraju naszego dla Włochów skreślić, choćby po polsku, podjęlibyśmy się również z chęcią, przetłumaczyć to; uważając za święty obowiązek w obczyźnie, nieskazitelnym żywotem, wiarą w przyszłość, miłością rozsądną przeszłości dowieść, żeśmy godni zmartwychwstania i dojdziemy doń, nie obcą pomocą, ale własnemi siłami, których Bóg użycza tym, co umieją chcieć silnie i mężnie iść do celu.

Olga hr. Komorowska.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

(*Adam Mickiewicz's „Dziady“ — „Todtenfeier“ von Heinrich Blumenstok. Wien, 1878.*)

Adam Mickiewicz nie tylko jest przedstawicielem najszlachetniejszych dążności swojej epoki; ale jest wieszczem nowych, doskonalszych form życia w przyszłości. Ztąd jego olbrzymia potęga. Z po za mogiły woła on do młodych nieskażonych jeszcze egoizmem serc:

Hej! ramię do ramienia! spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!
Dalej z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.
. . . .
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha....
Żywioły chęci są jeszcze w wojnie.
Oto — miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie.

Wezwanie to gorące pozostało nam w spuściznie, i przynajmniej raz do roku przypominamy je sobie. Czy jednak w dzisiejszych czasach przesadzonej czci dla formy, ostudzonego przyzwoitością uczucia i odrazy do kierunku radykalnego, wniknęliśmy w ducha tej ody i szczerze bierzemy jej słowa do serca, budzi się wielka wątpliwość.

Uczucia potężne, które wstrząsały sercem wieszcza naszego, gorącą lawą wylały się w „Dziadach.“ W poemacie tym—słusznie zauważał p. Blumenstok—mamy całe jego życie wcielone. Przechodzimy w nim całą gamę uczucia miłości i od stanu, w którym

„Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem“ —

aż do owej chwili, kiedy wreszcie tę miłość przetopił w wyższą, szlachetniejszą i zawołał:

„Nazywam się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze,
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.“

P. Blumenstok wniknął w ducha poety i z prawdziwem zrozumieniem rzeczy opowiedział treść poematu. Widać w nim znawcę i wielbiciela nowej poezyi.

Największą jednak ozdobą opowieści krytycznej p. Blumenstoka jest przytoczony w niej mistrzowski przekład Improwizacyi Konrada, dokonany przez p. Siegfrieda Lipinera. Młodego tego poety nie znamy, lubo p. Blumenstok powiada, że p. Lipiner stał się szybko znany w szerokich literackich kołach Austryi i Niemiec, jako autor „Rozkutego Prometeusza“ (Entfesselter Prometheus) i niedrukowanego jeszcze poematu „Echo.“ Wnosząc już ze znakomitego przekładu Improwizacyi, widzimy w nim autora, co zdołał wznieść się do wysokości naszego wieszcza i myśl jego prawie dosłownie i prawie w tej samej formie wyśpiewać po niemiecku. Dla dowodu przytoczę jeden ustęp w oryginale i w przekładzie:

„Lecz jestem człowiek, i tam na ziemi me ciało;
Kochałem, tam, w ojczyźnie serce me zostało...
Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku:
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.“

„Allein ich bin ein Mensch;
Auf Erden ist mein Leib und meine Liebe,
In meinem Vaterlande ist mein Herz geblieben.
Doch diese meine Liebe in der Welt,
Sie haftet nicht an Einem Menschen,
Wie auf der Rosenblüthe ruht der Wurm;
Auch nicht an Einem Heim, auch nicht an Einer Zeit:
Ich lieb' ein ganzes Volk! In meine Arme schloss ich
All' seine einstigen und kommenden Geschlechter,
Ich halte sie an meinem Busen,
Ein Freund, ein Liebender, ein Ehgemahl, ein Vater!
Ich will es heben, will's beglücken,
Zur staunenden Bewunderung einer Welt —
Ich weiss nicht, wie - und hier will ich's ergründen.“

Przekład Improwizacyi niezawodnie jest najtrudniejszym w „Dziadach,“ i dla tego mając tak ważny dowód zrozumienia naszego poety przez p. Lipinera, pragnęlibyśmy szczerze, ażeby dokonał przekładu całego poematu.

B. L.

(*Arthur Grottger eine Reminiscenz von F. M. Aren. Wien, 1878.*)

W 1862 r. autorka, która miała wówczas lat szesnaście, na jednym z balów wiedeńskich poznała Artura Grottgera, który słynął już ze swoich rysowniczych zdolności, ale jeszcze nie był zdobył sławy europejskiej. Zaprezentowano jej Grottgera jako rodaka, ponieważ autorka miała ojca Polaka, a lubo przez matkę połączona z narodowością niemiecką i wychowana w zakładzie naukowym w Altonie koło Hamburga, żywiła jednak serdeczną sympatyę ku Polsce. Grottger zajął jej wyobraźnię, a i ona wzbudziła w sercu artysty czulsze uczucie. Praktyczna jednak mamunia postarała się oddalić naszego artystę od swojej córki, albowiem ubogi malarz nie był w jej oczach wcale pożądaną partyą. Pomimo to autorka spotkała się po dwóch latach jeszcze raz z Grottgerem na balu maskowym w Wiedniu. Krótki ten stosunek autorki ze znakomitym twórcą „Warszawy,“ „Polonii,“ „Lituanii,“ „Padołu płaczu“ stanowi przedmiot wspomnienia p. Aren. Rzecz opowiedziana lekko i z wielkiem uwielbieniem dla geniuszu Grottgera, z którego niektórymi utworami autorka oznajamia czytelnika. W książce znajdują się dwa listy większe i mały liścik naszego artysty do p. Aren. Listy te napisane są z wielkim wdziękiem i malują nam poetyczną i romansową duszę ich autora. Książka ozdobiona jest portretem Grottgera.

(*Die Zukunft, socialistische Revue. Erster Jahrgang, Berlin, 1877.*)

Na tegorocznym kongresie socyalistów niemieckich pomiędzy wielu innemi zapadła także uchwała, ażeby od 1go października wydawać czasopismo naukowe, któreby zajmowało się badaniem i uzasadnianiem naukowem teoryi socyalistycznej, pozostawiając jej popularyzowanie innym pismom. Skutkiem właśnie tej uchwały zaczęło wychodzić w Berlinie czasopismo dwutygodniowe pt. *Die Zukunft*. Mamy przed sobą trzy numera, które bardzo korzystnie świadczą o redakcyi tego pisma. I nic też dziwnego, bo czasopismo wezwało do współpracownictwa szerokie koło pisarzy rozmaitej narodowości; pomiędzy jego współpracownikami prócz Niemców widzimy Elizeusza Réclus znakomitego geografa, Malon'a, Jules'a Guesde'a, Ludwika Bertrand'a, Francuzów; Lilienkrantza, Duń-

czyka; Leo Frankla z Pesztu itd. Z pomiędzy artykułów zasługują na szczególniejszą uwagę artykuły Juliusza Guesde'a o stosunkach francuskich, Hygiena przemysłowa przez doktora medycyny i „Duński projekt w kwestyi robotniczej" przez — v —. Redakcya umieszcza na czele pisma artykuły ogólno-filozoficznej treści, ma się rozumieć zawsze z uwzględnieniem socyalizmu, jak np. Socyalizm i nauka, Idealizm i realizm w polityce socyalnej itd. Otóż te artykuły, przynajmniej dotąd, grzeszą metafizycznością, która przyczynia się do tego, że nie są jasne dostatecznie w swym wykładzie. *B. L.*

Jednoduché účastnictví s ohledem na ustanovení zákonná. (Pojedyńcza rachunkowość z uwzględnieniem postanowień prawa.)

Německo-český slovník nazvu zboží obchodního spolu s ohledem na nazvosloví latinské. (Niemiecko-czeski słownik nazw towarów z uwzględnieniem nomenklatury łacińskiej.)

Pod powyższym tytułem pojawiły się tego roku w Pradze czeskiej dwa dzieła, zestawione przez Karola Piotra Kheila syna, a przeznaczone specyalnie dla użytku stanu handlowego. Otrzymaliśmy je od autora wraz z listem w języku *polskim* napisanym, w którym prosi o wzmiankę krytyczną o tych pracach swoich. Z prawdziwą przyjemnością czynimy zadość temu życzeniu p. Kheila, tem bardziej, że według naszego przekonania, byłoby nader pożądanem, ażeby ktoś znalazł się, coby zechciałby i polskiej literaturze przysporzyć podobnie użyteczne publikacye, do jakich sprawiedliwie zaliczyć wypada wymienione tu dwa dzieła p. Kheila.

Podręcznik rachunkowości pojedyńczej ma tę zaletę, iż jest w nim połączony metodyczny wykład zasad, wedle których księgi kupieckie powinny być prowadzone, z objaśnieniami przepisów austryackiego prawa handlowego, jak niemniej innych przepisów ustawodawczych, wchodzących w ten zakres (prawa wekslowego, ustawy cywilnej i t. d.) Również zawiera to dziełko wzory praktyczne rozmaitych rodzajów rachunków i ksiąg kupieckich. Nietylko dla młodzieży kształcącej się do zawodów handlowych i przemysłowych, ale nawet i dla kupców podobne kompendium rachunkowości, zaopatrzone prawniczemi objaśnieniami, bardzoby się przydało.

Słownik nazw towarów jest dość sporem dziełem, obejmującem 421 stronnic, które i dla polskich kupców, aptekarzy, chemików i technologów, może być użytecznem i interesującem. W czeskiej literaturze jest to, jak się dowiadujemy z przedmowy, pierwsze tego rodzaju dzieło, i wyszło już w dwóch wydaniach.

Pan Kheil utrzymuje w Pradze szkołę handlową, i jak widzimy z dzieł jego, jest on myślącym i gruntownie wykształconym pracownikiem na tem polu. *T. M.*

TEATR.

(Jan de Thomeray, dramat w 5 aktach przez Emila Augier i Juliusza Sandeau.

Jan de Thomeray napisany był wyłącznie dla Francuzów. Panom Emilowi Augier i Jules Sandeau przy układaniu wspólnego dramatu nie chodziło przedewszystkiem o to, aby ich dramat odpowiadał warunkom artystycznej całości, ale o to, aby obrazowo i dramatycznie wykazać Francuzom przyczynę ich klęsk, a raczej przyczynę ich małoduszności w ostatniej wojnie prusko francuskiej. Dramat ich zatem nie tyle jest owocem artystycznego usposobienia, ile dobrych chęci obywatelskich. Powiedzmy krótko: jest to traktat moralno polityczny w dramatycznej sukience.

Jakim sposobem bohaterski naród mógł okazać taką małoduszność w ostatniej wojnie? Autorowie nie stawiają tego pytania wyraźnie i strzegą się zestawiania tych dwóch wyrazów: małoduszność" i „Francuz", a jednakże dramat ich jest odpowiedzią na to pytanie. Pokazują nam oni dzielnego i czerstwego Bretończyka na łonie rodziny, wykarmionej najlepszemi tradycyami bohaterskiej Francyi. Bretończyk jest młody, przystojny i z imieniem. Wiozą go potem do Paryża i rzucają w wir paryzkiego życia. Łatwość zarobku giełdowego, towarzystwo próżniacze, miłostki większe i mniejsze, rozkosze, przyjemności i tysiączne przyjemnostki Nowego Babilonu tak uniedołężniają młodego Bretończyka, tak duszę jego z wszelkiego hartu rozbierają, że kiedy wojna wybucha, kiedy z całej Francyi ciągną gwardye na obronę Paryża, któremu grozi oblężenie, on, zobojętniały na losy ojczyzny, chce uciekać ze stolicy, aby gdzieś w bezpiecznem miejscu poślubić córkę bankiera, której nie kocha, z którą ma żenić się tylko dla pieniędzy. Ale właśnie w chwili, gdy się wybiera ukradkiem z Paryża, dochodzi go głos bretońskiej piosnki: to garde mobile bretońska wchodzi do Paryża, a na jej czele ojciec Jana de Thomeray. W duszy tego ostatniego następuje przełom. Staje on w szeregu bretońskich wieśniaków, aby walczyć w obronie Paryża i Francyi.

Na tem się kończy sztuka. Autorowie zapewne z pobudek patryotycznych nie wprowadzają na scenę obrazów wojennych, zbyt boleśnych dla duszy Francuza i zostawiają słuchaczom obszerne pole do domysłów. Zostałże Jan de Thomeray bohaterem po owym nagłym przełomie wewnętrznym? Może zginął w obronie Paryża? a może był jednym z tych, co pierwsi uciekali z pola bitwy? Kto to wie? Charakter Jana de Thomeray w ciągu całej sztuki przedstawia się tak chwiejnym i słabym, że wszystkiego się można po nim spodziewać. Tu główny błąd dramatu; może Jan de Thomeray i jest prawdziwym przedstawicielem ostatniego pokolenia Francyi, ale że nie jest dramatyczną postacią, to pewna.

Ale, jak powiedziałem, autorom chodziło przedewszystkiem o satyrę, o naukę moralną, nie o artyzm. Pod tym względem dopięli swego i bardzo nauczający dali obraz demoralizującego wpływu Paryża na świeżą, ale słabą naturę młodzieńczą. Dla poważnie myślących Francuzów Paryż jest chlubą, chwałą, światłem Francyi, ale jest zarazem i straszną otchłanią, która ściąga ku sobie i przetrawia wszystkie wybitniejsze zdolności, wszystkie znakomitsze siły z całego kraju. Jeżeli ten Paryż wychowa ducha bohaterskiego, to cała Francya na hasło rzucone ze stolicy, stanie pod rozwiniętym sztandarem, a cała Europa zatrzęsie się od tego hasła, ale jeżeli ten Paryż prócz niedołęstwa, kramarstwa i rozlubowania się w codziennych przyjemnostkach stołecznego życia nic innego nie zaszczepi w przysyłanych sobie elewach, to biada Francyi, gdy przyjdzie chwila krytyczna, w której się życia ludzkie rzucają na szalę. Dla tego Paryż zawsze stanowił o losach Francyi, dla tego to żadna inna stolica nie ma tak wielkiego, a zarazem i groźnego znaczenia dla swego kraju, jak nadsekwańska.

Co się tyczy strony artystycznej, nie można powiedzieć, aby ona była zupełnie zaniedbaną. I owszem, w niektórych obrazach i scenach odzywa się werwa francuska z całą siłą, i zapominamy o traktacie moralnym, aby się z zajęciem przypatrywać np. paryzkiej gryzetce z wielkim narysowanej wdziękiem.

Grano sztukę wogóle dość dobrze. Pani Zimajer nie miała wprawdzie nic w sobie z paryzkiej gryzetki, nie popsuła jednak wcale swojej roli. Pani Parżnicka, której gra w salonowych rolach odznacza się zawsze dystynkcyą, miała sposobność okazania kilku bardzo gustownych sukien. I złota młodzież paryzka lepiej jak zwykle prezentowała się na deskach lwowskich. Publiczność, której nawet piernikiem nie można ściągnąć do teatru (za taki piernik uważamy „Piękną Helenę" i „Pericolę", przed pustemi odegraną krzesłami) publiczność na Jana de Thomeray liczniej się zbierała, niż na co innego. Jest to znak dla dyrekcyi teatru, że smak publiczności zwraca się ku rzeczom poważniejszym, byle to tylko nie były rzeczy tak niesmaczne poważne jak Arya i Messalina Wilbrandta. Mam tu sposobność raz jeszcze przypomnieć, że p. Ładnowski od dłuższego czasu jest dla naszej sceny martwym kapitałem. Prawda, że w personalu żeńskim nie ma dlań odpowiedniej artystki, ale właśnie o taką artystkę trzeba się koniecznie postarać, jeżeli teatr nie ma ciągle świecić pustkami. *J. T.*

Z ALBUMU HALINY.

Czarowny uśmiech — lube spojrzenie,
Kwiatku! z jakiegoś ty pola?
— Ty Podolanka. O! na zbawienie
Przysięgnę — córka Podola.
Toż nasze niebo pełne uroku,
Słodyczy pełne, lśni w Twojem oku.

Melodya śpiewu, niebiosa wdzięku,
Dzwoni tak rzewnie, miłośnie —
Nasze słowiki w srebrzystym dźwięku
Milej nię nucą o wiośnie.
Ty Podolanka — śpiew Twój pieszczony
Zdradzi, słowiku, z jakiej Ty strony.

Wonny ust koral, różane lice,
Lube jak ranku szkarłaty,
Tylko podolskie mają dziewice.
Tylko podolskich pól kwiaty.
Po woni poznam różę śród wianka,
Śród dziewic poznam, żeś Podolanka.

Przy smutnej pieśni, ocząt niebiosa
Widziałem łzami zalane;
Wiosną o zorzy przeczysta rosa
Tak zdobi listki różane.
Ty Podolanka! tylko Podole
Takiemi łzami spowiada bole.

Po woni poznam różę śród wianka,
Śród dziewic poznam, żeś Podolanka.
14 marca 1849.

Henryk Jabłoński.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXII.

Kończący się małem, dość ciekawem doświadczeniem z dziedziny fizyki zabawiającej.

Księżyc! jeżeli to był księżyc, to dlaczego znikał? A jeżeli znikł, to zkąd przybywał? Dotąd żaden satelita nie towarzyszył Galii w jej ruchu dokoła słońca. Czyż niewierna Diana opuściła ziemię i poszła na służbę do nowej gwiazdy?

— Nie? to być nie może — rzekł porucznik Prokop.—Ziemia na wiele milionów mil odbiegała od nas, a księżyc nie przestał grawitować ku niej!

— Eh! my nic nie wiemy, — zauważył Hektor Servadac.—Dlaczegożby księżyc nie miał w tych czasach wejść w punkt przyciągający Galii i stać się jej satelitą?

— To już ukazałby się na naszym horyzoncie — rzekł hrabia — i nie czekalibyśmy trzy miesiące na niego.

— Doprawdy, że wszystko co się nam wydarza, jest tak dziwne — rzekł kapitan Servadac.

— Panie Serwadac — zaczął znowu porucznik Prokop, — hipoteza, że siła przyciągająca Galii jest dość wielką, by oderwać od ziemi jej satelitę, wcale nie jest przypuszczalną!

— Dobrze, poruczniku! — odrzekł kapitan Servadac. — A kto pana zapewni, że ten sam fenomen, który nas oderwał od kuli ziemskiej, jednocześnie nie zbił z drogi księżyca, który błą-

dząc po świecie słonecznym, w końcu przyczepił się do nas...

— Nie, kapitanie, nie — odpowiedział porucznik Prokop — a to z powodu nie dopuszczającego repliki.

— Jakiż to powód?

— Ten, że ponieważ masa Galii widocznie jest mniejszą od masy satelity ziemskiego, więc raczej Galia stałaby się jego księżycem, ale nie księżyc jej satelitą.

— Zgadzam się na to — odrzekł kapitan Servadac. — Ale kto dowiedzie, że my nie jesteśmy księżycem księżyca i że rzuceni na nową orbitę nie towarzyszymy księżycowi w świecie międzyplanetarnym?

— Czy panu wiele zależy na tem, bym zbił tę nową hipotezę? — zapytał porucznik Prokop.

— Nie, — odrzekł uśmiechając się kapitan Servadac — gdyż prawdę powiedziawszy, gdyby nasza asteroida była tylko drugorzędnym satelitą, to nie potrzebowałaby trzech miesięcy czasu na przebycie pół obwodu księżyca i ten już nieraz ukazałby się nam od czasu katastrofy!

Podczas tej dyskusyi satelita Galii, mniejsza o to jaki, szybko wznosił się na horyzoncie — co już usprawiedliwiało ostatni argument kapitana Servadac. Można było zatem przypatrzeć mu się uważnie. Przyniesiono lunety i wkrótce przekonano się, że nie był to stary księżyc nocy ziemskich.

W samej rzeczy, chociaż ten satelita wydawał się więcej zbliżonym do Galii aniżeli księżyc do ziemi, był jednak nierównie mniejszym; przedstawiał on swą powierzchnią zaledwie dziesiątą część satelity ziemskiego. Była to zatem tylko redukcya księżyca, dość słabo odbijająca światło słoneczne i nie mogąca zgasić gwiazd ósmej wielkości. Wszedł on na zachodzie, właśnie ze strony przeciwnej słońcu i w tej chwili musiał być w pełni. Brać go za jedno z księżycem było niepodobieństwem. Kapitan Servadac musiał zgodzić się na to, że nie było widać na nim ani mórz, ani szczelin, ani kraterów, ani gór, ani żadnych tych szczegółów, które tak wyraźnie zarysowują się na odbiciach selenograficznych. Nie była to już owa łagodna twarz siostry Apollina, która świeża i młoda według jednych, stara i pomarszczona według drugich, spokojnie od tylu wieków spogląda na śmiertelników.

Był to zatem księżyc specyalny, i jak to zauważył hrabia, zapewne jakaś asteroida, którą Galia pochwyciła, przebiegając przestrzeń planet teleskopowych. A teraz, czy był to jeden z tych stu sześćdziesięciu dziewięciu małych planet teleskopowych skatalogowanych, lub też jakiś inny, o którym astronomowie nie mieli jeszcze żadnych wiadomości? Może później można będzie dowiedzieć się o tem. Są asteroidy rozmiarów nadzwyczaj drobnych, które dobrze idąc można obejść we dwudziestu cztery godziny. W takim razie ich masa jest znacznie mniejszą od masy Galii, której siła przyciągająca bardzo mogła wykazać się na jednym z tych mikrokosmów w miniaturze.

Pierwsza noc, spędzona w Ulu Niny, przeszła bez żadnego wypadku. Na drugi dzień wspólne życie zostało ostatecznie uorganizowane. „Ekscelencya generalny gubernator“, jak się z emfazą wyrażał Ben-Zuf, nie chciał by próżnowano. I w samej rzeczy kapitan Servadac przedewszystkiem obawiał się próżnowania i złych jego skutków. Uporządkowano więc zajęcia całodzienne bardzo starannie a roboty nie brakło. Doglądanie zwierząt domowych dawało już dość wiele do czynienia. Przygotowywanie żywności, połów ryb, dopóki morze było jeszcze wolne, urządzenie galeryi, które potrzeba było w niektórych miejscach wypróżnić, by uczynić dostępniejszemi, nakoniec tysiączne inne szczegóły przedstawiały się co chwila i nie pozwalały opuszczać rąk.

Dodać tu należy, że najzupełniejsza zgoda panowała w małej kolonii. Majtkowie i Hiszpanie żyli w najlepszem porozumieniu. Pablo i Nina zostali wychowańcami kapitana Servadac. Co do zabawiania ich, była to rzecz Ben-Zufa. Ordynans uczył ich nie tylko swego języka, ale jeszcze i paryskiego, który jest dystyngowańszy. Potem przyrzekał im, że kiedyś zaprowadzi do miasta „zbudowanego u stóp góry“, które nie ma równego sobie w świecie i które nadzwyczaj uroczo opisywał. Łatwo domyśleć się o jakiem to mieście profesor napomykał.

W owym czasie uporządkowano również kwestyę etykiety.

Jak sobie przypominamy, Ben-Zuf przedstawił swego kapitana jako generalnego gubernatora kolonii. Ale nie poprzestając na nadaniu mu tego tytułu, przy każdej sposobności nazywa ekscelencyą. W końcu zniecierpliwiło to kapitana Servadac, który wezwał swego ordynansa, by zaniechał tego tytułowania.

— Jednak, ekscelencyo!... — odpowiedział niezmiennie Ben-Zuf.

— Będziesz ty milczeć?

— Słucham ekscelencyo!

Kapitan Servadac nie wiedząc już jak zmusić do posłuszeństwa, powiedział raz Ben-Zufowi:

— Czy przestaniesz, nakoniec, nazywać mnie ekscelencyą?

— Jak się ekscelencyi podoba — odrzekł Ben-Zuf.

— Ależ czy wiesz, uparty cymbale, co robisz tak mnie mianując?

— Nie, ekscelencyo.

— Otóż znaczy on po łacinie „mój stary“; nie zachowujesz więc uszanowania przynależnego swemu przełożonemu, nazywając mnie „swoim starym.“

Od owej małej lekcyi honorowy tytuł znikł ze słownika Ben-Zufa.

Tymczasem wielkie zimna nie nastąpiły w drugiej połowie marca i co za tem idzie Hektor Servadac i jego towarzysze nie zamykali się jeszcze. Uorganizowano kilka wycieczek wzdłuż wybrzeża i po powierzchni nowego kontynentu. Zbadano go w promieniu pięciu czy sześciu kilometrów do koła Gorącej Ziemi. Była to zawsze okropna skalista pustynia, bez żadnej roślinności. Kilka śladów wody zmarzniętej, tu i ówdzie płachty śniegu pochodzącego z wyziewów zgęszczonych w atmosferze zapowiedziały ukazanie się żywiołu płynnego na powierzchni. Ale ileż to, bezwątpienia, wieków upłynie, nim rzeka wyżłobi sobie łożysko w tym kamienistym gruncie i potoczy swe wody aż do morza! Co zaś do masy jednolitej, której nowi mieszkańcy nadali nazwę Gorącej Ziemi, czy był to stały ląd, czy wyspa, czy rozciągał się aż do bieguna południowego? Nie podobna było tego wyjaśnić, a wyprawa na te krystalizacye metaliczne musiała być poczytaną za niemożebną.

Zresztą kapitan Servadac i hrabia, mogli utworzyć sobie wyobrażenie ogólne o miejscowości rozglądając ją jednego dnia ze szczytu wulkanu. Góra ta wznosiła się na końcu przylądka Gorącej Ziemi i miała od dziewięciuset do tysiąca metrów wysokości nad powierzchnią morza. Była to ogromna bryła dość regularna w kształcie ściętej piramidy, u samej podstawy otwierał się wąski krater, przez który odchodziły materye palne, ciągle uwieńczone ogromnym kłębem pary.

Wulkan ten, przeniesiony na starą ziemię, nie bez trudności i znużenia byłby dostępnym. Pochyłości jego, bardzo strome i śliskie sprzeciwiłyby się wytężeniom najenergiczniejszych podróżników. W każdym razie wyprawa taka wymagałaby wielkiego zasobu sił i cel jej nie łatwo byłby osiągnięty. Tu, przeciwnie, dzięki znacznemu zmniejszeniu się ciężkości i zwiększeniu siły muskularnej, która z tego wynikała, Hektor Servadac i hrabia, dokonywali cudów zręczności. Dzika koza nie byłaby zwinniejszą, przeskakując ze skały na skałę, ptak nie przebiegłby lżej po wąskich występach, okalających przepaść. Zaledwie potrzebowali godziny, by wznieść się na trzy tysiące stóp, oddzielających podstawę góry od szczytu. Gdy stanęli na brzegu krateru, nie więcej byli znużeni, aniżeli gdyby uszli półtora kilometra po linii poziomej. Wyraźnie jeżeli Galia pod względem pobytu przedstawiała pewne niedogodności, to miała także i dobre swe strony.

Ze szczytu góry, dwaj badacze, z lunetami przy oku, mogli przekonać się, że widok asteroidy zawsze był jeden i ten sam. Na północ zaległo ogromne morze Galickie, gładkie jak zwierciadło, gdyż nie było najmniejszego wiatru, jak gdyby gazy powietrzne stężały wskutek zimna górnej atmosfery. Mały punkt, lekko omglony, wskazywał miejsce zajmowane przez wyspę Gurbi. Na wschód i zachód ciągnęła się płynna płaszczyzna, jak zawsze pusta i samotna.

Ku południowi poza krańcami widokręgu gubiła się Gorąca Ziemia. Kawałek ten kontynentu zdawał się tworzyć obszerny trójkąt, którego szczyt stanowił wulkan, ale tak, że nie podobna było widzieć jego podstawy. Patrząc z tej wysokości, która powinna by była wyrównać wszelkie nierówności, grunt tego nieznanego terytoryum nie zdawał się dostępnym. Miliony sześciokątnych brył, któremi było najeżone, czyniły go najzupełniej nienadającym się dla pieszego podróżnika.

— Balon, albo skrzydła! — rzekł kapitan Servadac — oto czegoby nam potrzeba dla zbadania tego terytoryum! Do wszystkich piorunów! Unoszeni jesteśmy na prawdziwym produkcie chemicznym, niezawodnie nie mniej ciekawym od tych, które wystawiają w witrynach muzeów!

— Czy uważasz, kapitanie — odrzekł hrabia — jak wyraźnie oczom naszym przedstawia się wypukłość Galii, a zatem jak stosunkowo krótką jest odległość, oddzielająca nas od horyzontu?

— Tak jest, hrabio — odrzekł Hektor Servadac. — Obserwowałem już to samo z nadbrzeżnych skał wyspy. Dla spostrzegacza, umieszczonego na wysokości tysiąca metrów na naszej starej ziemi, horyzont zamykałby się w odległości nierównie większej.

— Nie wielka to kula, ta Galia, jeżeli się porówna ją z kulą ziemską! — zauważył hrabia.

— Bezwątpienia, ale jest więcej aniżeli wystarczającą dla ludności, która ją zamieszkuje! A zresztą czy pan uważasz, iż część jej urodzajna redukuje się obecnie do trzechset pięćdziesięciu hektarów, uprawianych na Gurbi.

— Tak jest, kapitanie, część urodzajna podczas dwóch czy trzech miesięcy letnich i nieurodzajna przez tysiące może lat zimy!

— Co pan chcesz? — odrzekł kapitan Servadac uśmiechając się — nie zasięgano nasze

rady przed wybraniem się do Galii; najlepiej być filozofem!

— Nietylko filozofem, kapitanie, ale także wdzięcznym Temu, którego ręka zapaliła lampę tego wulkanu! Bez tego wypływu ognia Galii skazani bylibyśmy na śmierć od zimna.

— A mam mocną nadzieję, hrabio, że ogień ten nie zgaśnie przed końcem...

— Przed końcem czego... kapitanie?

— Tego co się Bogu spodoba! On wie i on tylko jeden!

Kapitan Servadac i hrabia rzuciwszy po raz ostatni wzrokiem na kontynent i morze, zabierali się do odwrotu. Ale przedtem chcieli przypatrzeć się kraterowi wulkanu. Naprzód zauważyli, że wybuch odbywał się ze szczególnym spokojem. Nie towarzyszył mu ów huk bezładny, owe grzmoty ogłuszające, jakie zwykle zapowiadają wylatywanie materyi wulkanicznych. Stosunkowy ten spokój nie mógł ujść uwagi badaczów. Nawet nie było wrzenia lawy. Płynna ta substancya, doprowadzona do stanu rozpalenia, podnosiła się w kraterze ciągłym ruchem i spokojnie odlewała, jak nadmiar wód cichego jeziora, uchodzących przez wypływ. Zrobimy tu porównanie: krater wcale nie był podobny do kotła wystawionego na silny ogień i z którego woda wylatuje gwałtownie; była to raczej miednica napełniona aż po krawędzie, odlewająca się bez wysileń, prawie bez odgłosu. To też nie było żadnych innych materyi wybuchających, wyjąwszy lawy, ani kamieni rozpalonych, ani popiołu połączonego z sadzą, wyjaśniało to, dlaczego podstawa góry nie była zasiana owymi odłamami pomyksowemi, żużlami i innemi minerałami plutonicznego pochodzenia, których pełno jest na ziemi przy wulkanach. Niewidać było także żadnej bryły eratycznej, ponieważ nie mógł jeszcze utworzyć się żaden lodowiec.

Szczegół ten, jak to zauważył kapitan Servadac, dobrze rokował i pozwalał przypuszczać, że wybuch wulkaniczny trwać będzie nieskończenie. Gwałtowność w porządku moralnym, tak jak i fizycznym, jest wyjątkowo trwałą. Burze najgwałtowniejsze, tak jak i uniesienia, nie trwają długo. Tu owa woda ognista płynęła z taką regularnością, odlewała się z takim spokojem, iż źródło podsycające ją zdawało się nie wyczerpanem. Wobec wodospadu Niagary, której górne wody toczą się tak spokojnie w łożysku, nie przychodzi na myśl, iż kiedykolwiek mogą zatrzymać się w biegu. Na szczycie tego wulkanu było toż samo i rozum nie pozwalał przypuszczać, by ta lawa wylała się kiedykolwiek z krateru.

W dniu tym zaszła zmiana w stanie fizycznym jednego z żywiołów Galii; ale przyznać trzeba, że była dziełem samych kolonistów.

I rzeczywiście, ponieważ po wyniesieniu się całkowitem z wyspy Gurbi, gdy cała kolonia umieściła się już w Gorącej Ziemi, właściwem wydawało się wywołanie otwardnienia powierzchni morza Galickiego. Natenczas komunikacya z wyspą byłaby możebną po wodach lodem pokrytych i myśliwi mieliby tym sposobem rozszerzony zakres swej działalności. Otóż w dniu tym kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop zebrali całą ludność na skale, panującej nad morzem na samym końcu przylądka.

Pomimo zniżenia się temperatury, morze było jeszcze płynne, okoliczność tę zawdzięczało zupełnej swej nieruchomości, gdyż najmniejszy nawet podmuch nie marszczył powierzchni. W takich warunkach, jak wiadomo, wóda może nie zamarzając, wytrzymać pewną ilość stopni niżej zera. Prawda, że najmniejsze wstrząśnienie usuwa to.

Mała Nina i przyjaciel jej Pablo nie omieszkali przybyć wraz z innymi.

— Malutka — rzekł kapitan Servadac — czy potrafisz rzucić kawałek lodu w morze.

— O, potrafię — odrzekła mała dziewczyna — ale Pablo rzuci dalej odemnie.

— W każdym razie spróbuj — powiedział kapitan Servadac — podając Ninie kawałek lodu.

Potem dodał:

— Uważaj, Pablo! zobaczysz jaka z tej naszej Niny czarodziejka.

Nina zamachnęła się parę razy i rzuciła lód, który wpadł w spokojną wodę. Natychmiast dał się słyszeć jakby donośny brzęk, który rozszerzył się po za granice horyzontu.

Morze Galickie stwardniało na całej swej powierzchni! (C. d. n.)

KRONIKA ODKRYĆ i WYNALAZKÓW.

Jeśli weźmiemy do ręki prześliczne kryształy ametystu, kryształu górnego lub innego jakiegokolwiek minerału, o gładkich jak źwierciadła powierzchniach i cudnych nieraz barwach, to nasuwa się nam na myśl pytanie, w jaki sposób powstały one i jaka siła nadała im te dziwne, a nieraz wytworne kształty. Chemikowi w laboratoryum udaje się z soli mineralnych lub też innych połączeń chemicznych otrzymać piękne kryształki, lecz czyż mogą one iść w porównaniu z owemi, nieraz nadzwyczaj wielkich rozmiarów, regularnie zbudowanymi kawałkami, które górnik z łona ziemi wydobywa? Musiało je wydać jakieś potężniejsze laboratoryum, niż to, które sobie człowiek sporządza, o tyle potężniejsze, o ile siły przyrody są większe od skromnych sił człowieka.

W łonie ziemi i teraz jeszcze odbywają się olbrzymie przemiany chemiczne, i teraz powstają coraz nowe połączenia, lecz czyż mogą się one równać z tymi przewrotami, które się na powierzchni naszego globu odbywały, gdy on był jeszcze w stanie płynnej, roztopionej kuli, i gdy wskutek oziębienia zaczęła się tworzyć na jego powierzchni twarda skorupa, która się ciągle zwiększała, przechodziła najrozmaitsze koleje i nareszcie doszła do stanu, w którym się obecnie znajduje.

Wśród kolosalnej temperatury, wtedy gdy większość ciał, które teraz jako stałe widzimy, była roztopioną, połączenia i rozkłady chemiczne odbywały się z łatwością, o jakiej my z naszych obecnych stosunków zaledwie słabe pojęcie mieć możemy. Wtedy wiele ciał minerałów przechodziło w stan pary, a potem, osadzając się na stwardniałej powierzchni, przyjmowało kształty krystaliczne, jak para wodna osiadająca w czasie mrozów na szybach okien naszych i tworząca mroźne kwiaty złożone z kryształków lodu.

Badacze przyrody starali się pochwycić u niej sposoby, których używała na wytworzenie tych kształtów, i w swych laboratoryach dochodzić drogą sztuczną do tych samych rezultatów. Lecz nie zawsze się to udawało i właśnie te minerały, które są najcenniejszymi z powodu swej rzadkości i ładnego wyglądania, najwięcej stawiały oporu sztucznemu odtworzeniu. Dyamenty, rubiny, szmaragdy, szafiry, nie mogły być dotąd sztucznie zrobione, pomimo najliczniejszych usiłowań robionych w tym kierunku, a tem wytrwalej prowadzonych, że nagrodą za trudy byłaby i sława naukowa i korzyść materyalna.

Otóż obecnie z szeregu tych drogich kamieni wykreślić przyjdzie dwa, które zostały zrobione sztucznie przez pp. Fremy i Feila, jak o tem donoszą sprawozdania paryskiej Akademii umiejętności.

Panom tym udało się zrobić rubiny i szafiry, które co do twardości, połysku i barwy, niczem nie ustępują tym klejnotom wydobywanym z wnętrza ziemi.

Nie możemy się na tem miejscu wdawać w szczegóły ich poszukiwań, które, jako rzeczy specyalne, przekraczają zakres naszej kroniki. Musimy się więc ograniczyć na podaniu metody w ogólnych zarysach.

Minerały te składają się z czystej krystalicznej glinki (połączenia pierwiastku metalicznego *glinu*, stanowiącego główną część składową zwykłej gliny z tlenem, gazem, który zmięszany z azotem tworzy powietrze), zabarwionej solami metalicznemi na kolor właściwy. Otóż pp. Frémy i Feil poddawali glinkę w połączeniu z innemi ciałami, ułatwiającemi krystalizacyę, nadzwyczaj silnemu działaniu ognia i tą drogą doszli do znakomitych rezultatów. Przez dni kilkadziesiąt utrzymywali mięszaninę w temperaturze tak wysokiej, jak na to pozwalają potężne środki fizyczne, którymi obecnie nauka rozporządza.

Po rozbiciu tygla i stosownem oczyszczeniu, znaleziono kryształy rubinów i szafirów (stosownie do mięszaniny), które posiadały wszystkie własności tych minerałów z ziemi wydobywanych.

Cała zasługa odkrycia leży w znalezieniu warunków, w których te same ciała były przez przyrodę wytwarzane.

Przyjdzie do tego, że kamienie te robić się będą fabrycznie i nie będą mogły już nosić przydomku „drogich." Jesteśmy przekonani, że niedługo i reszta tych klejnotów pójdzie tą samą drogą.

* * *

Wynalazki tak dziwne, że trudno im dać wiarę, sypią się w ostatnich czasach jedne po drugich. Gdy w roku ubiegłym przyszła do Europy wiadomość o telefonie Bella, to uważano ją za humbug amerykański i niedowierzano temu największemu wynalazkowi naszego wieku, aż póki nie przekonano się o jego działalności naocznie. Drugim wynalazkiem, który się podobnego losu doczekał jest „fonograf" Edisona, na którego dotąd jeszcze wszyscy z niedowierzaniem patrzają i czekają pojawienia się w Europie.

Niedawno, we wszystkich dziennikach pojawiła się wiadomość o przyrządzie, który na papierku miał notować mowę ludzką i przechowywać ją przez czas nieograniczony. Papierek ten, włożony do innego przyrządu, miał w nim wywoływać wszystkie dźwięki mowy ludzkiej, które miał na sobie zapisane, i powtarzać z największą dokładnością, wszystko to co doń mówiono. Wszystkie te wiadomości dziennikarskie, zaprawione były żartami, i ten wynalazek uważano za nowy humbug, przybywający do olbrzymiego szeregu dawniejszych...

A jednak, jak się zdaje, wiadomość ta ma realniejsze podstawy, niżby to przypuszczać należało. Najpoważniejsze pisma naukowe, do których należy także i angielskie „Nature", redagowane przez Huxleya, podają szczegóły *fonografu*

*

Edisona, który właśnie posiada wszystkie wyżej wyliczone własności. Z tego też czasopisma czerpiemy i nasz opis, zastrzegając jednak sobie ostateczne zdanie na później, skoro sami przyrząd zobaczymy. A nie będzie to tak trudnem, gdyż według opisu fonografa Edisona jest nadzwyczaj prostym, a więc i bardzo tanim przyrządem.

Dziennik amerykański „Scientific American“ pierwszy podał o fonografie wiadomość, która lotem błyskawicy obleciała wszystkie dzienniki.

Pan Tomasz Edison przyszedł do redakcyi tego czasopisma, postawił małą maszynkę na stole, pokręcił korbą, i maszynka zapytała ludzkim głosem o zdrowie obecnych, przywitała się grzecznie, zapytała jak się obecnym fonograf podoba, opisała swoją budowę i nakoniec życzyła swym słuchaczom dobrej nocy! Kilkanaście osób obecnych, słyszało najdokładniej wszystkie dźwięki, wygłoszone przez prosty bardzo przyrząd, który poniżej opisujemy.

Pierwszą najważniejszą częścią przyrządu jest krótka i gruba rura, u jednego końca otwarta, a u drugiego zamknięta cienką błoną metaliczną. Ta błona gra taką rolę, jak błona w telefonie. Skoro się mówi do otwartego końca rury, to zaczyna ona drgać, jej powierzchnia wykrzywia się, zmieniając co chwila postać, odpowiednio do dźwięków ludzkiej mowy. Na zewnętrznej stronie pośrodku błonki przymocowanem jest ostrze metaliczne, które z nią razem wszystkie ruchy odbywa. Ostrze to, opiera się na wałku, który za pomocą korby może być szybko obracanym. Przy każdym obrocie wałek za pomocą śruby, na jego osi umieszczonej, posuwa się naprzód, tak, że ostrze podczas obrotu, opisuje na nim linią śrubową. Jeżelibyśmy na wałek nawinęli papier, a zamiast ostrza postawili ołówek, to ujrzelibyśmy na papierze po kilkudziesięciu obrotach wałka linię, która bieży wężowato po tym papierze.

Przedstawmy sobie, że na wałku wzdłuż tej linii, którą ołówek narysował, zrobiliśmy wyżłobienie, i że zamiast papierem, obwinęliśmy wałek cynfolią. W tym wypadku podczas obrotu, ostrze będzie się wciskało do cynfolii i zostawi na jej powierzchni rowek jednostajny. Otóż jeżeli podczas obrotów będziemy mówili do rury, to wtedy błona drgać będzie, a z nią razem i ostrze i zamiast jednostajnego, gładkiego rowka, będziemy mieli inny, którego dno będzie zazębione, odpowiednio do ruchów tego ostrza.

Otóż ta synfolia zawiera już w sobie wszystkie dźwięki mowy i trzeba ją tylko włożyć do innego przyrządu, żeby usłyszeć to, co się poprzednio do rury mówiło. Zazębienia w rowkach mają kształt odpowiadający każdej literze w głosie, i przypatrzywszy się im za pomocą szkła powiększającego, możnaby, wprawdzie z wielkim trudem, odczytać te słowa, które zazębienia reprezentują. Marey i Rosapelly budowali podobnego rodzaju przyrządy do zapisywania mowy i potrafili nawet odczytywać te hieroglify.

Edison wynalazł przyrząd, który sam te znaki odczytuje, i sam je głośno powtarza. Nie ma nic prostszego nad ten genialny jego pomysł.

Maszynka czytająca, tak samo jak pisząca składa się z rury otwartej u jednego końca, a u drugiego zamkniętej napiętą błoną. Rura ta umieszczoną jest także przed owym wałkiem z nawiniętą cynfolią, na której wyżłobione są zazębienia. Sztyfcik przyciśnięty bardzo lekką sprężyną opiera się jednocześnie i na cynfolii i na błonie. Jeżeli więc teraz zaczniemy obracać wałek, to sztyfcik będzie drgał przesuwając się po zazębieniach wyciśniętych na cynfolii i jednocześnie będzie wprawiał w ruch błonę, i to wruch zupełnie taki, jaki pierwsza błonka w przyrządzie piszącym podczas mówienia odbywała.

Te drgania błonki, następujące szybko po sobie, wydadzą dźwięki, odtwarzające w zupełności to, co było do pierwszej błonki mówionem.

Całe więc działanie fonografu redukuje się do analizy i syntezy dźwięków mowy. Naprzód na cynfolii odbijają się wszystkie najdrobniejsze odcienia mowy i przedstawiają się w kształcie zazębień, a potem te odbicia pojedyńczych części składają się razem i na drugiej błonie wywołują powtórzenie głosu.

Ażeby przyrząd ten mógł działać dobrze i dokładnie reprodukować dźwięki, musi odpowiadać następującym warunkom. Zazębienia na cynfolii muszą być odbijane z wielką dokładnością, a potem wałek musi się obracać z tą samą szybkością, gdy chodzi o czytanie fonogramu, jak gdy chodziło o zanotowanie jego na cynfolii. Wiadomo, że wysokość tonu zależy od ilości drgań na sekundę, które odbywa ciało dźwięczące. Im mniej tych drgań, tem ton jest niższym. Jeżeli więc wałek z cynfolią obracać się będzie powolniej, więc usłyszymy głos grubszy i tym sposobem sopran dziecinny może się w fonografie przedstawić jak bas dojrzałego mężczyzny.

Br. Abakanowicz.

SPRAWY SZKOLNE.

„TO TYLKO DROBIAZGI“.

II.

Odmawianie modlitwy w szkole, przed rozpoczęciem nauki i po ostatniej godzinie, jest obowiązkiem szkolnym, a zatem wszyscy uczniowie w klasie bez wyjątku, kolejno spełniać go winni, boć szkoła dając równe wszystkim prawa, nakłada na wszystkich uczniów równe obowiązki. Zwykle atoli mało na to zważają nauczyciele i dla tego niemal powszechnie tak się dzieje, że jeden z uczniów, poszturkiwany i popychany w tym celu przez kolegów, spełnia ten obowiązek jakby od niechcenia. Mniemamy, że należałoby raczej usunąć zwyczaj odmawiania modlitwy, niż go poniewierać. Jeżeli bowiem nauczyciele nie przestrzegają tego, aby uczniowie spełniali *ten* obowiązek w sposób właściwy i poważny, toż konsekwentnie rzecz biorąc, upoważniają uczniów do lekceważenia i innych obowiązków i przepisów szkolnych. Jest rzeczą wielce niestosowną rozdzielać obowiązki ucznia na jakieś ważniejsze i lżejsze kategorye, bo tą drogą doprowadza się młody umysł do nader luźnego pojmowania obowiązków studenckich, a następnie obywatelskich. Według zdania naszego, należy przestrzegać pilnie, aby wszyscy uczniowie po kolei odmawiali modlitwę przez władzę szkolną aprobowaną, bez względu na religię i obrządek. Wszakże uczeń ewangielickiego, lub nawet i mojżeszowego wyznania ma równe prawo z innymi korzystać ze szkoły, ma też tenże sam co wszyscy spełniać obowiązek. Należy zatem i żydowskim uczniom podać do odmawiania stosowną modlitwę, którąby rzecz oczywista, treścią swą odpowiadała modlitwie dla katolików przepisanej. Skoro zasada równouprawnienia stała się podstawą stosunków społecznych, nie wolno jej sprzeniewierzać się w szkole wobec młodego pokolenia, które ze szkoły powinno wynosić nietylko wiedzę, ale i zasady, na jakich się w życiu opierać będzie.

W jednej ze szkół średnich we Lwowie, gorliwy i myślący nauczyciel zwrócił już na to uwagę, lecz o ile nam wiadomo, znaczniejsza część nauczycieli uważa to także za „drobiazg“.

We wschodniej części kraju z powodu dwoistego obrządku kościelnego, odbywają się w niedziele i święta osobne exorty dla uczniów łacińskiego, osobne dla uczniów greckiego kościoła. Zwykle tak bywa, że nauczyciele według obrządku swego, biorą udział w tych exortach. Uważamy to za błędne, a nawet szkodliwe. Nauczyciel bierze udział w exorcie, nie jako członek konfesyi religijnej, jeno jako nauczyciel w celu dozorowania młodzieży i dania jej przykładu. Tym sposobem winien wszystkim uczniom jednakową baczność, jednakowe zainteresowanie się nimi. Gospodarz klasy słusznie zatem i logicznie postąpi, skoro udawać się będzie raz na exortę polską, drugi raz na ruską. Tym sposobem w oczach uczniów nie będzie się utrwalał rozdmuchiwany przez nieprzyjazne wpływy rozkład religijny i narodowy.

Zdaje nam się, że żądanie nasze nie jest ani pedanteryą, ani rzeczą zupełnie błahą.

Już to z przykrością przyznać trzeba, że nie ze wszystkiem mylą się wrogowie nasi, utrzymując, iż zwykliśmy bywać nader dumnymi wobec niższych od siebie stanowiskiem, a zbytecznie potulnymi wobec wyższych. Kto tylko miał kiedy sposobność często stykać się z różnymi dostojnikami urzędowymi w kraju naszym, doznał nieraz bolesnego uczucia: jeżeli już nie oburzenia, to bodaj niechęci. Duma dziwna nieokrzesana, połączona ze sztywnością często śmieszną raziły go nieraz, a to tem boleśniej, jeżeli miłość własna narodowa na tem cierpiała. Przyznać należy, że ministrowie i „*hofraci*“ wiedeńscy są tak uprzejmi, tak grzeczni, iż pod tym względem zawstydzają dostojników naszych o wiele niższych w randze urzędniczej. Każdy człowiek ze stanowiskiem ma jakie takie prawo regresu i na niegrzeczność odpowiedzieć może: przynajmniej ignorowaniem pyszałka. Tego atoli prawa uczeń przywłaszczyć sobie nie może, a jakże go boleć musi, jeżeli na obowiązkowy ukłon oddany profesorowi, nie otrzyma nawet zwrócenia na siebie uwagi?

Nauczyciel powinien przykładem przyświecać. Wiemy z własnego doświadczenia i studenckiego i nauczycielskiego, że im grzeczniejszy dla uczniów nauczyciel, tem więcej ma u nich powagi. A dla czego? Bo postępowaniem własnem licuje z tem, czego naucza, bo grzecznością swoją podbija serca dziatwy i zniewala ją do oddawania ukłonów już nie z obowiązku nakazanego, ale podyktowanego przez serce.

Jest to zresztą pewnikiem, jeszcze za czasów Sokratesowych dowiedzionym, że miara grzeczność pozostaje w prostym stosunku do miary wykształcenia. Pewnik ten znany dobrze młodzieży szkolnej, boć i w domu uczą ją grzeczności rodzice i w szkole nauczyciel. Skutkiem tego traci uczeń wiarę w wykształcenie swego nauczyciela, nie widząc u niego grzeczności.

Rzecz to drobna, bardzo drobna na pozór — a jednak ważna: niech się nigdy nie uchyla nauczyciel od oddania uczniowi ukłonu za ukłon, choćby to był dzieciaczek nawet mały. Sam zyska na powadze, a w uznaniu utrzyma lub wzbudzi godziwą ambicyę, co też jest obowiązkiem jego.

Na tem przerywamy uwagi nasze, bojąc się by i redakcya i czytelnicy nasi nie powtórzyli z innymi „ależ to takie drobiazgi“, że czytać nie warto“. Później znowu sobie wyprosimy kącik, by obok spraw ważniejszych świat dorosły obchodzących, i nasz mały światek szkolny w ramy „Tygodnia“ wprowadzać.

Czesław Pieniążek.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

Kraków 3. lutego.

„Podobne jest Królestwo teatralne krakowskie gabinetowi przedlitawskiemu, który chociaż dymisjonowany urzęduje“, słowa wyjęte z listu p. St. Koźmiana do p. Wł. Ludw. Anczyca, wydrukowanego w *Czasie*. Do słów tych możnaby dodać inną w tym samym guście parabolę: „Podobny jest Kraków do naddunajskiej i do nadpełtwiańskiej stolicy, albowiem ma swoje przesilenia teatralne jako one.“

Tak jest czytelnicy, mamy tu w podwawelskiem mieście kryzys teatralną, która stała się powodem, najprzód, jak zwykle u nas bywa, wielu pogłosek, następnie dwóch fejletonów w jednym naszym dzienniku, a następnie znowu pogłosek.

Według pogłosek p. Koźmian miał wchodzić w układy to z p. Rychterem, to z p. Miłaszewskim o odstąpienie jednemu z nich teatru, układy te jednakże rozbiły się z powodów, które, jak to zazwyczaj bywa z pogłoskami, rozmaicie przedstawiano i komentowano.

Według artykułu p. Anczyca, dyrektor teatru zbyt długo już kieruje sceną, aby to dogadzać miało zmiennym naszym upodobaniom, więc przejadł się publiczności, która przesyciwszy się nim przestała chodzić do teatru, zaś według artykułu p. Koźmiana, publiczność nie z jakichkolwiek lokalnych przyczyn, tylko z powodu ogólnej biedy i braku przejezdnych, mniej teraz licznie jak niegdyś do teatru uczęszcza, ale dyrektorstwo przejadło się już dyrektorowi, znajdującemu się ciągle w położeniu młynarza z bajki La Fontaina, i dlatego dyrektor zamierza porzucić scenę, jak tylko zdoła wyszukać następcę, który jej ciężar zechce przyjąć na swe barki.

Wreszcie według pogłosek, które powstały już po wydrukowaniu artykułu p. Koźmiana, a zatem są zupełnie świeżego pieczywa, owym oczekiwanym następcą p. Koźmiana w dyrektorstwie teatru krakowskiego ma być pan Wł. L. Anczyc.

Z tych wszystkich wersyi, tylko oświadczenie p. Koźmiana pochodzi ze źródła bezpośrednio świadomego rzeczy, bo od samego zamierzającego ustąpić dyrektora, faktem jest zatem, że p. Koźmian, zrażony niepowodzeniami jakich teatr obecnie w skutek ogólnej biedy doznaje, zamierza kierownictwo sceny zdać w inne ręce, a jeżeli następcą jego będzie autor „Emigracyi chłopskiej,“ to ustępującemu dyrektorowi niepodobna zarzucić niewłaściwego wyboru, chociaż tę ostatnią pogłoskę podaję z wszelkiemi zastrzeżeniami, jako potrzebującą potwierdzenia. Mniemam owszem, że gdyby nagle, pod wpływem jakiego czarodziejskiego zaklęcia, czasy na lepsze się zmieniły, gdyby kieszenie znacznej części podwawelczyków napełniły się guldenami, to kto wie, czy p. Koźmianowi nie powróciłby jeszcze apetyt na potrawę, którą się karmił od lat sześciu, że jednak taki fenomen nie bardzo jest prawdopodobny, zdaje się zatem, że zbliża się chwila, w której w teatrze krakowskim rozpoczną się nowe rządy, lepsze czy gorsze, żaden prorok w tej chwili napewno wyprorokować nie zdoła.

Pewnem jest to tylko, że zamierzający ustąpić dyrektor dość pesymistycznie zapatruje się na sytuacyą swego następcy, powiada bowiem, że tylko tak wielki pan, jak rząd, może sobie pozwolić zbytku utrzymywania stałej dobrej sceny, że tylko obok rządowych teatrów mogą powstawać dobre teatra prywatne, że marzyć o dobrym teatrze prywatnym tam, gdzie nie ma stałej sceny rządowej, jest prawie to samo, co szukać kamienia filozoficznego.

Żałuję bardzo, że p. Koźmian tego twierdzenia wypowiedzianego apodyktycznie żadnemi argumentami nie poparł, lecz podał je tylko jako wynik swego doświadczenia, bo tym sposobem trudno wystąpić do walki z tą tezą, zwłaszcza, że nie można się oprzeć na przykładach zagranicznych, gdyż twierdzenie p. Koźmiana tylko do obecnych polskich stosunków teatralnych się odnosi, my zaś w Polsce nie mamy nigdzie teatru prywatnego, istniejącego obok sceny przez rząd utrzymywanej, ażebyśmy się przekonać mogli, czy się na nim sprawdza to spostrzeżenie. W Warszawie scena jest w ręku rządu, ale za to nie istnieją sceny prywatne, przyjeżdżających bowiem na kilka letnich miesięcy scen ogródkowych za teatra, mające rywalizować na seryo ze stałą sceną, uważać nie można, w Galicyi zaś i w Poznańskiem nie ma wcale teatrów rządowych. W takim stanie rzeczy twierdzenie pana Koźmiana dałoby się logicznie wytłumaczyć na praktyczny język słowami: „Podejmuję się utworzyć dobry stały teatr prywatny w Krakowie, jeżeli jednocześnie w Krakowie istnieć będzie stała scena polska rządowa z należytą starannością utrzymywana.“ Ponieważ niepodobna przypuścić, żeby taką rzeczywiście była myśl p. Koźmiana, wolimy raczej sądzić, żeśmy jej dobrze nie zrozumieli, lub że ją autor niedokładnie wyraził i z tej przyczyny przejść nad nią do porządku dziennego, nie załamując rąk z rozpaczy, że ani w Krakowie, ani we Lwowie dobrego teatru mieć nie będziemy, dopóki pomiędzy następcami barona Lassera nie znajdzie się taki, któryby powziął myśl obdarzenia Galicyi polskimi teatrami rządowemi.

Gdyby nie to przesilenie teatralne, które o ile można przypuszczać, nie doprowadzi, jak dotąd nie doprowadziło, do zamknięcia teatru choćby na chwilę, są bowiem i to w liczbie mnogiej, (która według gramatyki rozpoczyna się już od dwóch), amatorowie pragnący objąć spuściznę po p. Koźmianie, nie wiele faktów byłoby do zapisania w tej chwili z podwawelskiego grodu, w którym pomimo karnawału, pomimo dość wrzawnych zgromadzeń Towarzystwa muzycznego i cichszego daleko zebrania filii Towarzystwa ochrony zwierząt, pomimo festynu na lodzie, występów „niezrównanego“ atlety Holtuma w cyrku Sidolego, pomimo popisów polskiego humorysty i polskiej śpiewaczki szansonetek w *cafés chantants*, których liczba, jak na Kraków, trochę za bardzo urosła, pomimo redut itp. roskoszy, dość głucha panuje cisza.

Co do karnawału, dość powiedzieć, że pierwszym jego na większą skalę objawem będzie dopiero bal maskowy medyków odbyć się mający w dniu 6. lutego, całe zatem ubiegłe pięć tygodni były niejako przedłużeniem adwentu, gdyż wieczoru na Strzelnicy, na którym około 20 par oddawało się upojeniom tańca salonowego za karnawałowy objaw na seryo uważać niepodobna. Bal medyków, o którym wspomniałem, zasługuje jednak na uwagę z tego względu, że rzadkim a może niepraktykowanym w naszem mieście przykładem, komitet zajmujący się jego urządzeniem przeznaczył trzecią część dochodu na instytut ociemniałych we Lwowie, a więc na cel nie krakowski.

Okazując się tak wstrzemięźliwym w zabawach, Kraków zdaje się obchodzić w ten sposób żałobę po pierwszym swoim autonomicznym prezydencie śp. dr. Dietlu, który, jak się dowcipnie wyraził „Dyabeł,“ musiał Kraków uważać za miasto zupełnie zdrowe, skoro mu nic nie zapisał. Dowcip ten czysto lokalny dla zamiejscowych czytelników wymaga komentarza. Plotkarki i plotkarze krakowscy od dawnego już czasu głosili, że po dr. Dietlu miasto odziedziczy jakiś wspaniały legat na wodociągi, odbudowę Sukiennic lub na inny cel podobny, a c. k. komisya podatkowa już zacierała ręce z zadowolenia, jak wielką od tego legatu każe miastu zapłacić taksę, tymczasem nadzieje te zawiodły, a nawet okazało się, że zmarły, tyle dla miasta i dla kraju zasłużony mąż nie pozostawił tak znacznego majątku, o jaki go pomawiano, że zatem nie mógł bez krzywdy własnej rodziny obracać jego części na cele publiczne.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 7. lutego.

Pod względem współubiegania się za marnościami świata tego, podobno już wyprzedziliśmy błogie czasy pierwotnych chwil stworzenia. Pamiętam, ucząc się historyi świętej za młodych czasów, nie mogłem sobie wyobrazić, jak mógł Ezaw za porcyę soczewicy sprzedać swoje starszeństwo Jakóbowi. Ja, którego gospodynia nasza śp. Kwaśniewska dwa razy na tydzień karmiła tym specyfikiem, gotów byłem dopłacić, któremu z kolegów, aby zjadał za mnie swą soczewicę, a on tak się o nią dobijał, jakby o co dobrego. Lecz w tym tygodniu, gdy się dowiedziałem, że jeden żołnierz zabił drugiego o furę nawozu, zupełnie usprawiedliwiam Ezawa i przyznaję, że ówczesna cywilizacya świata daleko wyżej stała od dzisiejszej... Nie licząc różnych tego rodzaju wypadków nagłej śmierci, Lwów przerażony jest samobójstwami, pomimo bardzo wyczerpującego traktatu p. Dieduszyckiego, po wyjściu którego zdawało się, że tylko same zwierzęta czworonożne mogą czyhać na wyzwolenie się z pęt doczesnego żywota. — Tymczasem w Łyczakowskiej dzielnicy i jej przyległościach ludzie i starzy kawalerowie, co kilka dni albo się kłują scyzorykami, albo strzelają do siebie. Właściciel domu p. Smutny, któremu podobną niespodziankę aż dwóch lokatorów w ciągu krótkiego czasu wyprawiło, zrobił podanie do odnośnych władz, albo o zrobienie rewizyi umysłów żyjących jeszcze w domu jego lokatorów, i ewentualnie usunięcie takowych, albo o zmianę nazwiska swego na *Zrospaczony*, bo mu już *Smutny* nie wystarcza.

Idąc koleją w opisywaniu wypadków, noszących charakter policyjnych komunikatów, — przychodzę do zaaresztowania biednego chłopka, któremu się zachciało bez dzwonka używać szlichtady po ulicach lwowskich. — Dziś, gdy dzięki wstrzemięźliwości naszej delegacyi, nie pozwalającej na słuchanie np. tak niewinnych rozpraw jak o oszczędności, jesteśmy tak żywo chwaleni ze wszech stron za nasz austryacki patryotyzm i lojalność, że wasz kronikarz mimowoli do czarnego inkaustu kronikarskiego, musi domięszać trochę żółtego koloru, (tylko proszę nie brać go za jedno z żółcią) i w sprawozdaniu swojem przedewszystkiem uwzględnić dział urzędowy. Otóż sprowadzono do policyi biedaka i nałożono grzywnę.

— Za co ja mam płacić? — pyta zdesperowany chłopek.

— Za to, że twoja kobyła nie ma dzwonka na szyi.

— Eh jeżeli za to — mówi z wesołą miną włościanin drapiąc się po głowie — to ja powiem, że mojej kobyle nie potrzeba dzwonka.

— Dlaczego nie potrzeba?

— Bo ona głucha jak pień, proszę wielmożnego komisarza.

Daremnie objaśniano go, że dzwonek przyczepia się nie dla kobyły, ale dla sanek, żeby ostrzegać przechodzących, chłop się nie dał przekonać, a utrzymując ciągle swoje co do głuchoty konia, tyle wymógł, że mu darowano karę...

Otóż wypadek ten wobec zapowiedzianego wyboru nowego posła do Rady państwa, a ztąd pierwszego zebrania wyborców w ratuszu, nasunął mi dziwnego rodzaju analogiczne porówna-

nia — dlaczego władze sądowe wymierzają kary za przyczepianie dzwonka naszej delegacyi, kiedy właśnie policya karze za to jak dzwonka nie ma. Śmiałe to może być porównanie a może i ekscentryczne, ale zdaje mi się, że jak ta kobylina sanki włościańskie — tak znów delegacya nasze interesa galicyjskie ciągnie sankami po ulicach polityki narodowej. Wyborcy lwowscy, boją się być niespodzianie najechanymi, w formie programu chcieli narodowemu ekwipażowi przyczepić dzwonek. Delegacya wymawiała się, że nie słyszy, sądy powtórzyły, że nie potrzeba, a gdy nie słuchano ich nawoływań i ukuto dzwonek na ratuszu — władza użyła służącego mu prawa i jest proces.

Taka lekcya widocznie oddziałała na ostatnie zgromadzenie, o dzwonku nie było już mowy, ale za to jednomyślność została rozbitą z powodu, że w liczbie proponowanych 150 członków do komitetu wyborczego, nie było ani jednego kawałeczka cukru... Nie ma się czemu dziwić!— Świat dzisiejszy już tak przywykł do słodyczy i w ślad za nią idącej harmonii i zgody, że gdyby cukier wyłączyć z takiej esencyi lwowskiej jaką ma być obszerniejszy komitet stu pięćdziesięciu mężów, to by wszystkie handle korzenne, a z niemi i szanowni kupcy mojżeszowego wyznania pobankrutowali. Nie, Lwów jeszcze do tego nie doszedł. Dlatego mamy nadzieję zobaczyć wkrótce drugie już z samych cukrów złożone zebranie, które sobie wyszuka kandydata na wzór i podobieństwo Imci Pana Wolskiego, pioniera interesów galicyjsko-adwokackich w Wiedniu.

Dla kronikarza podobne awanturki mają nieocenioną wartość, dając pole do zasiania przynajmniej trzech fejletonów iskrami dowcipu wykarmionego na mówkach i plakatach wyborczych. Dziwi nas tylko dlaczego „Dziennik Polski" nie skorzystał z tej okazyi, aby wywiesić swoją własną chorągiew, którą raz przecie chcielibyśmy oglądać. U nas tylu jest ludzi szukających, z przekonaniami swemi, nieprzemakalnego dachu, że Dziennik, który swój niedawno wyreperował, mógłby liczyć na zastęp umiarkowanych postępowców i stanowić równowagę między skrajnemi tendencyami.

Reduta akademicka kompletnie się udała. Tysiąc sto guldenów zasili kasę stowarzyszenia, a dołożywszy do tego zegarek nieprzyjęty przez królowę maskarady, jesteśmy przekonani, że młodzież nie będzie miała za złe policyi, która poleciła usunąć *Biedę galicyjską* z repertoaru żywych obrazów.. Gdzież tu szukać biedy przy takim rezultacie! Że niepozwolono na reducie rozwiązywać kwestyi wschodniej, uważamy za bardzo słuszne. Sprawę tę właśnie podniósł hr. Andrassy i zamiast Lwowa wyznaczył Wiedeń na miejsce zebrania konferencyi. Zapewne i tam nie obejdzie się bez masek, bo dzisiaj już nikt nie przeczy bliskiego pokrewieństwa dyplomacyi z maskaradą. Dla jenerała Ignatiewa, to już i w Berlinie i w Paryżu i w Londynie szyją domina, a on ciągle kaprysi, i jeżeli sobie w Petersburgu nie dobierze czegoś do twarzy — gotów nie przyjechać.

Na reducie tej, może raz pierwszy pokazała się zgodność przekonań krakowskich z lwowskiemi. Palmę pierwszeństwa otrzymał paw, a Kraków życzy sobie mieć starostę w podobnym guście, przynajmniej przez usta „Czasu" w ten sposób swoje pragnienia objawia... Życzymy więc Krakowowi, aby jeszcze przed wiosną, nim pawie potracą ozdobne piórka, urządził podobną jak my redutę w salonach spiskiego pałacu, a zaręczamy, że i bez złotego zegarka, zleci się tam tyle zamaskowanych pawi, że będą w kłopocie którego wybrać. Wiadomo, że pawie ogromnie się lubią prezentować i cisnąć przed oczy każdemu.

Bale i wieczorki już idą jedne za drugiemi, jak dawna pańszczyzna po cztery lub pięć dni ciągłych na tydzień. Tam za Bałkanem tysiącami ludzie giną jak muchy od zimna i głodu, pomiędzy którymi i naszych nie mało, a my hasamy sobie swobodnie to w czterdzieści, to w dwadzieścia par w nowiuteńkich sukienkach i błyszczących lakierach. To tak daleko, kto wie czy to prawda, ciężkie teraz czasy, a tych składek na wszystkie strony co nie miara... Dla tego też i składki idą tępo; niech giną niespokojne i awanturnicze umysły, które drogi do ojczyzny szukały po stepach Małej Azyi, lub nad brzegami Dunaju... Wszyscy rozsądni ludzie dawno im to przepowiedzieli, nie słuchali, więc niech giną.

I niewolnicy literaccy, klawisze, na których grają wydawcy i właściciele drukarń, dają bal w tym tygodniu, dopominając się od publiczności tańcującej dopłaty do kupowanych przez siebie książek i prenumerowanych pism peryodycznych... Spodziewamy się zatem wyjątkowo, że nie doznają zawodu i że piękne czytelniczki przypomną sobie spojrzawszy na trzymaną książkę w ręku, iż bez nich nie znałyby tej roskoszy, jaką im czułe sceny kochanków dostarczają, a zatem, że wypada choć raz w rok zatańczyć na kolędę dla żon i sierot pozostałych po zecerach. Jeżeli tak dalej pójdzie z kupnem książek i propagowaniem ojczystej literatury jak w roku bieżącym, to na przyszły karnawał urządzimy księgarsko-literacką redutę i żywe obrazy już bez kostiumów z samej Biedy literackiej. Tej policya nie zabroni, bo literaci jako niepłacący podatku od dochodu, którego nie mają, nie liczą się do obywateli krajowych, za ich więc biedę c. k. organa wykonawcze żadnej nie przyjmują odpowiedzialności.

Dzięki serdecznej literackiej zgodzie, jaka panuje w tem gronie, dotąd garstka pracowników na niwie piśmiennictwa naszego nie mogła się zorganizować w jakiebądź stowarzyszenie, któreby w razie wypadku uchroniło od śmierci głodowej rodziny przewodników opinii narodowej. Rzemieślnicy, oficyaliści, wyrobnicy dzienni, podobno i kominiarze już mają swoje kasy zaliczkowe, emerytury i inne instytucye dobroczynne; literaci tylko chodzą samopas napojeni trwożliwą myślą, co też stanie się jutro z ich rodzinami, jeżeli to jutro wytrąci im pióro z ręki?... Czy to nie byłaby pora na seryo zastanowić się nad środkami ratunku, do których i publiczność nasza bezwątpienia przyłożyłaby rękę... Czekamy na dobrą intencyę inicyatorów, sprawa nie jest tak trudną do przeprowadzenia.

Nareszcie ujrzymy długo tajone, wycofywane, a nadzwyczaj zaciekawiające listy Zygmunta Krasińskiego. Czcigodny i niestrudzony J. I. Kraszewski podjął się uporządkowania tego bogatego materyału, mającego objąć 6—8 tomów, a zatem jest nadzieja, że wydawnictwo w zupełności odpowie swemu zadaniu.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Biblioteka teatrów amatorskich* nr. 2. Kalosze, komedyjka w jednym akcie J. A. hr. Fredry 40 ct.

— *Biblioteka teatrów amatorskich* nr. 3. Kaprys komedya w jednym akcie przez Alfreda Musset 40 ct.

— *Illustracye przedstawień* urządzonych na reducie akademickiej w roku 1878. 8ka, str. 16. Lwów 1878 20 ct.

— *Jasieński H. dr.* Nędza na Rusi. Obrazki z życia wiejskiego. 8ka, str. 238 Lwów 1878 1.60

— *Kraszewski J. I.* Krwawe znamię. Powieść 8ka, str. 224. Lwów 1878 1.50

— *Muray Grecville.* Wdowa czy mężatka? Powieść. 8ka, str. 157. Warszawa 1877 60 ct.

— *Pochodnie Nerona* czyli świeczniki chrześciaństwa (opis obrazu). Warszawa 1877 25 ct.

— *Słowacki Juliusz.* Mazepa tragedya w pięciu aktach. 59 tomik bibl. Mrówki. Lwów 1878 30 ct.

— *Wodzicki Kazimierz hr* Zapiski ornitologiczne IV. Kuropatwa. Kraków 1878 1.80

— *Zarański S.* Geograficzne imiona słowiańskie zestawione alfabetycznie według nazw ich niemieckich, włoskich, rumuńskich, węgierskich i tureckich z dodaniem niektórych gotyckich i innych zagranicznych spolszczonych. 8ka, str. 264. Kraków 1878 2 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na medal pamiątkowy złożyli:

15. Wny Teofil Merunowicz ze Lwowa 3 złr.

Na *Złote myśli* J. I. Kraszewskiego zapisali się:

1. Wna J. Wiśniowska z Kossowa.
2. Wny Władysław Bronowicz ze Lwowa.
3. Wny Alfred Młocki ze Lwowa.
4. Wny Roman Ciszewski ze Lwowa.
5. Wna Ludwika Rozwadowska z Tuchowa.
6. JW. hr. Wanda Zamojska z Obladowia.
7. Wna Róża Lanckorońska z Niżniowa.
8. Wny Piątkiewicz ze Lwowa.
9. Wna Celina Dominikowska z Krosna.

Na wybór dzieł J. I. Kraszewskiego:

1. Wny Leopold Konopacki ze Lwowa.
2. Wny dr. Max. Michalski z Krakowa.
3. Wny K. Eckert z Przeworska.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Mazepa,* tragedya Juliusza Słowackiego wyszła w taniem wydaniu w Bibliotece Mrówki.

— *Dwutygodnika naukowego* poświęconego archeologii, historyi i lingwistyce, wyszedł nr. 3, który zawiera: Kamienna karta dziejów przez Teodora Ziemęckiego Mapy archeologiczne przez Artura Gruszeckiego. Recenzye M. Chylińskiego i A. Gruszeckiego. Drobne wiadomości. Bibliografia. Zapytania. Pismo powyższe, mamy nadzieję, znajdzie sympatyczne przyjęcie ze strony publiczności, gdyż ze wszech miar na to zasługuje. Rozprawa pt Kamienna karta dziejów, zwróciła na się powszechną uwagę.

— W Krakowie przedstawioną była nowa komedya Michała Bałuckiego pt „Po śmierci cioci."

— Czasopisma *Kosmos,* wychodzącego we Lwowie pod redakcyą prof. Br. Radziszewskiego, a będącego organem Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, wyszedł już z druku zeszyt I. na rok 1878.

— *Nowiny* warszawskie podały w polskim przekładzie powieść Juliusza Verna „Miłość Indyanina."

Grono literatów i adwokatów warszawskich zawiązało spółkę nakładową celem wydawania dzieł literackich i naukowych tłumaczonych i w miarę możności oryginalnych. Na pierwszy raz wybrano „Duch wieku" Edgara Quinet. Przekładem zajmuje się Daniel Zgliński.

— *Łowca* wyszedł nr. 2 i zawiera: Kilka słów o programie *Łowca,* Sprawy towarzystwa łowieckiego, Łowy w Polsce do 18 wieku przez W. A. Maciejowskiego, Słownictwo łowieckie, Tydzień polski przez A. Barthelsa wiersz, Oswajanie wiersz łowczych, Korespondencye z Olejowa, Krakowa, Kronika, Kalendarz myśliwski. Prenumerata całoroczna wynosi 5 złr.

DOKTOR DIETL.

— Dnia 19 stycznia zmarł Józef Dietl, doktor medycyny, dożywotni członek austryackiej izby panów, rektor i profesor wszechnicy jagielońskiej, członek i dyrektor wydziału matematyczno-przyrodniczego akademii umiejętności, członek towarzystwa przyjaciół

nauk w Poznaniu i towarzystw lekarskich w Warszawie, Wilnie, Paryżu, Wiedniu, Christianii i wielu innych towarzystw uczonych i dobroczynnych; kilkakrotnie poseł na sejm krajowy galicyjski i do rady państwa.

Józef Dietl urodził się w roku 1804 w Pobieżu, w cyrkule Samborskim, a początkowe nauki pobierał w gimnazyum w Samborzu. W roku 1819 udał się do Lwowa dla dokończenia studyów filozoficznych; a w roku 1823 przeniósł się na uniwersytet wiedeński, dla nauki medycyny. Z początku pobytu swego w Wiedniu Dietl walczyć musiał przez lat kilka z ciężkim niedostatkiem, który znosił z odwagą i spokojem właściwym silnym i nieugiętym charakterom, a dopiero w roku 1826 byt jego został o tyle o ile zabezpieczony przez ówczesne stany galicyjskie, które przyznały Dietlowi stypendyum w kwocie 400 złr. rocznie, dzięki czemu mógł spokojniej oddać się studyom medycznym, które ukończył w roku 1829 ze stopniem doktora medycyny. W końcu tegoż roku mianowany został asystentem przy katedrze mineralogii i zoologii przy uniwersytecie wiedeńskim, na której to posadzie pozostał do roku 1833. Wkrótce po nominacyi na asystenta otworzył kurs własnych wykładów, na które młodzież bardzo licznie uczęszczała i przez dłuższy czas zastępował chorego profesora Scherera. W roku 1834 Dietl mianowany został lekarzem powiatowym na przedmieściu Wiedeń, przytem pozyskał ogromną praktykę, tak, że po kilku latach zaliczono go do rzędu najznakomitszych lekarzy wiedeńskich. W roku 1851 wydział lekarski uniwersytetu jagiellońskiego za rektoratu dra Józefa Majera przedstawił Dietla na profesora kliniki chorób wewnętrznych w Krakowie.

W roku 1861 Dietl został wybrany z kuryi większych własności okręgu krakowskiego, bocheńskiego i wadowickiego posłem na sejm krajowy galicyjski, następnie zaś członkiem delegacyi do rady państwa. Tegoż roku obrany został po raz pierwszy rektorem uniwersytetu. W roku 1865 obrany został po raz trzeci na powyższą godność, ale gabinet Schmerlinga nie potwierdził wyboru, a nawet usunął go z posady profesora. W roku 1865 po zaprowadzeniu organizacyi gminnej miasta Krakowa wybrany radcą miejskim, a następnie prawie jednomyślnie prezydentem miasta.

Zawód literacki rozpoczął Dietl równocześnie z praktyką lekarską w Wiedniu. Do roku 1846 pisywał liczne artykuły, a dopiero w tym czasie wydał pierwsze dzieło większych rozmiarów w języku niemieckim: „Klinika anatomiczna chorób mózgowych“, w r. 1853 ukazało się drugie znakomitej wartości dzieło Dietla „Krytyczny opis szpitali europejskich“. Prócz tego za pobytu już swego w Krakowie napisał różnemi czasy znaną liczbę rozpraw lekarskich.

W roku 1857 za inicyatywą Dietla zawiązała się w towarzystwie naukowem krakowskiem komisya balneologiczna, której był duszą i prezesem, a jedną z największych zasług jego jest staranie się o podniesienie zdrojowisk krajowych, których był właściwym twórcą i organizatorem. W przedmiocie tym wydał cały szereg specyalnych rozpraw i broszur.

Sprawy wychowania publicznego gorąco zawsze zajmowały Dietla; czy w komisyi zebranej w roku 1860 przez namiestnika Gołuchowskiego w sprawie języka wykładowego, czy też w komisyach edukacyjnych sejmowych, okazywał zawsze wielką znajomość przedmiotu i gruntowne poglądy. Reforma szkół galicyjskich stała się jednem z licznych zadań jego i po długoletnich pracach przygotowawczych, wydał po polsku obszerne dzieło: „O reformie szkół krajowych“, które zajmuje, obok prac Kołłątaja i Piramowicza zaszczytne miejsce w ubogiej jeszcze literaturze polskiej pedagogicznej i stanowi w Galicyi punkt zwrotny od pozostałości germanizacyjnych do zdrowych zasad i tradycyi.

Jako prezydent miasta Krakowa, pierwszy podniósł myśl pożyczki półtoramilionowej w celu restauracyi Sukiennic, wystawienia budynków szkolnych kanalizacyi i sporządzenia wodociągów, a gdy w roku 1872 wyszedł jego mandat, rada miejska obrała go ponownie na ten urząd. W roku 1873 znużony ciężką pracą Dietl złożył mandat burmistrzowski i pomimo nalegań współobywateli przyjąć go już więcej nie mógł, gdyż wiek i znużenie nakazywały mu konieczny spoczynek, z którego aż do śmierci nie wyszedł już na widownię publiczną.

Rada miejska krakowska uchwaliła jednomyślnie, że pogrzeb Dietla odbędzie się kosztem gminy, jak to się zwykło dziać przy pogrzebach najbardziej zasłużonych obywateli; decyzya ta zaś jest dowodem uznania spółobywateli dla licznych zasług zmarłego.

Wiadomości ekonomiczne.

— Jak wiadomo, rozpoczęto już zeszłego lata roboty około osuszania części błot pińskich. Przedsięwzięcie to jednak bardzo mozolne i za jeden z głównych jego punktów uważać należy szczegółowe oznaczenie ilości wód meteorycznych, spadających w ciągu roku w tych okolicach. Ażeby ilość tę o ile można najściślej określić, urządzone zostają w okolicach błot pińskich trzy obserwatorya meteorologiczne, mające zapisywać spostrzeżenia w ciągu półtora roku. Obserwatorya te, urządzone w majątkach obywateli ziemskich, którzy z osuszenia błot bezpośrednią odniosą korzyść, funkcyonować już wkrótce zaczną.

Odkrycia.

— W Ostrowie znaleźć miano, jak niemieckie dzienniki donoszą, w ogrodzie Parczewskich pewną ilość piasku złotego i sądzą powszechnie, że znaczny pokład tego szlachetnego kruszcu na tem miejscu się znajduje. Wskutek zawiadomienia o tem kompetentnej władzy, zakazanemi zostały dalsze poszukiwania złota, dopóki komisya górnicza z Wrocławia nie wyda potrzebnych rozporządzeń i nie sprawdzi prawdziwości złota.

ROZMAITOŚCI.

Franciszek Raspail umarł dnia 10 bm. w Paryżu licząc 84 lat. Urodzony z ubogich rodziców w Carpentras, otrzymał pierwsze wykształcenie od starego proboszcza i miał się poświęcić stanowi duchownemu. W seminaryum okazywał też wielkie zdolności w filozofii i teologii i utrzymywał się z prywatnych lekcyi, ale z powodu swych zasad republikańskich dużo sobie porobił nieprzyjaciół. Po kilku latach studyów prawniczych poświęcił się zupełnie naukom przyrodniczym i wydał mnóstwo rozpraw tej treści. W r. 1830 zraniony został postrzałem Odtąd porzucił stowarzyszenia tajne i wystąpił publicznie jak współpracownik i redaktor pism skrajno-republikańskich. Był on zaciętym polemistą i z tego powodu miał wiele procesów, co jednak nie zdołało ugiąć jego hartu. Od 1835 do 1869, w którym to czasie wystąpił jako kontrkandydat Garnier Pages'a i Juliusza Favr'a, przebywał na wygnaniu lub w więzieniu Później odkrył nowy środek medyczny, kamforę, którą na rozmaite używać zaczął słabości. To zdobyło mu popularność, i przyniosło kilka milionów franków. Metoda kamforowa stała się głośną; w medycynie utworzyła się formalna szkoła Raspaila. Za udział w rewolucyi lutowej skazano go na pięć lat więzienia, poczem Raspail wyjechał do Belgii. W r. 1869 został wybrany znowu do ciała prawodawczego i odtąd żył w swej przepysznej wilii Armeil pod Paryżem. Po wojnie 1870—71 wybrany został do Izby posłów. Przez całe życie należał on do partyi radykalnej i był jednym z koryfeuszów socyalnej demokracyi, z których pozostał obecnie tylko Blanqui. Pomimo jego słabostek, nawet nieprzyjaciele jego zacięci przyznawali mu wielkie zalety.

Palikao. Jednocześnie prawie z sędziwem republikaninem Raspailem odwołany z tego świata francuski imperyalista najczystszej wody, generał i ostatni prezydent ministrów cesarstwa, Cousin Montauban hr. Palikao. Był on wnukiem znanego generał-porucznika Sauvay de Picardois. Od najmłodszych lat służył wojskowo, z razu przez lat 26 w Afryce, gdzie też dosłużył się stopnia generała dywizyi i zjednał sobie sławę najlepszego w armii francuskiej dowódzcy jazdy. Dnia 23 grudnia 1847 Montauban jeszcze wówczas pułkownik, wziął był do niewoli Abdelkadera. W roku 1859 otrzymał dowództwo wyprawy przeciw Chinom. W połączeniu z Anglikami odniósł był wtedy zwycięstwa pod Sin-ko, Czang-kia-huang i Pa-li-kia-ho, które jednak splamił wandalskiem zniszczeniem i zrabowaniem wspaniałej letniej siedziby cesarzy chińskich Yuen-nuen-yuen pod Pekinem. Za zwycięstwa te otrzymał wielki krzyż legii honorowej, a później tytuł hr. Palikao i krzesło w senacie. Wojna niemiecko-francuska i pierwsze klęski armii francuskiej zastały go na stanowisku komendanta legii lugduńskiej. Po upadku ministerstwa Ollivier (9 sierpnia 1870) cesarzowa regentka powołała go do utworzenia tak zwanego ministerstwa odporu. Objął prezydyum tegoż, oraz tekę wojny. On to zarządził awanturniczy pochód Mac-Mahona na Sedan w celu dania odsieczy zamkniętemu w Metz Bazainowi. Po upadku cesarstwa opuścił Francyą, do której powrócił po zawarciu pokoju i wydał wtedy broszurę p. t. Un ministre de la guerre des vingt quatre jours... Później już nie grał roli politycznej.

— Dnia 20go bm. w skromnym kościółku Błoniu, stanęło przed ołtarzem jedenaście sędziwych par.

Miały one odebrać powtórne błogosławieństwo kapłana po przeżyciu z sobą uczciwie pięćdziesięciu lat w stanie małżeńskim.

Nie licząc już synów i córek, stu czterdziestu wnuków i prawnuków otaczało staruszków.

Godne jest uwagi, że w liczbie jedenastu jubilatów, trzech aż znajduje się rodzonych braci.

Błogosławieństwa udzielał jubilatom miejscowy proboszcz przy pomocy kapłanów z okolicznych parafij, z których jeden uczcił obchód odpowiednią przemową.

Przybyły z nieopodal położonego Parzenczewa chór parafialny, wykonał przy tem umyślnie ułożoną kantatę.

Rozdano w końcu jubilatom dwadzieścia dwie laski z krzyżami, mających służyć za podporę w drodze dalszego życia — i wszyscy udali się do domów, ażeby w rodzinnem kole uczcić jeszcze odpowiednim obchodem „złote wesele.“

Dodamy, że wszystkie pary te są urodzone w parafii Błonie, liczącej ledwo 1.200 dusz ludności, tu brały ślub i tutaj uprawiały ziemię przez całe życie.

Fakt to nader oryginalny i charakterystyczny.

— Prezes pewnego towarzystwa wstrzemięźliwości, który swojego gardła ani razu nie splamił żadnym trunkiem rozpalającym i z świątobliwem oburzeniem patrzał na kieliszek, a zwłaszcza nalany — zachorował.

Lekarz, filut nad filutami, bo i w tym stanie filutów nie brak podobno, polecił swemu pacyentowi, aby dla rozgrzania się kropnął sobie szklankę ponczyku. Poncz za receptą nie jest nadużyciem, zwłaszcza jeżeli tak pan doktor każe...

Ile to gorszych rzeczy wypija się bez rozkazu doktorów!

— Ale jakżeż bez ubliżenia mojej powadze potrafię połknąć tę szatańską miksturę? — pytał zakłopotany pacyent. — Gdyby mnie widziano pijącego poncz w jasny dzień i to gorący poncz z rumem... Boże! A moja klucznica, zgorszenie prawdziwe! coby ona powiedziała widząc mnie przy szklance ponczu, mnie, który codziennie prawię jej kazanie na temat wstrzemięźliwości.

— To pij tak, aby nikt nie widział.

— Ba, a zkądżeż wezmę wody gorącej?

— Każ pan sobie podać niby do golenia.

— A tak, możnaby, możnaby... ale czy się uda?

— Trzeba spróbować.

W jakiś czas złośliwy lekarz przechodził pod domem swego pacyenta. Na progu stała klucznica z zafrasowaną miną i z rękami rozpaczliwie załamanemi.

— No, cóż tam Katarzyno? — spytał zaniepokojony Eskulap - czy pan wasz znowu zachorował?

— Aj, gorzej panie konsyliarzu, gorzej!... — biadała smutnym głosem kobiecina.

— Przecież? może niebezpieczny?

— Oj, niebezpieczny, niebezpieczny. Nieszczęście, dostał fiksum, zbzikował na dobre.

— Cóż takiego?

— Ot, zamyka się od rana do nocy i goli się po dziesięć razy dziennie!...

Rzeczywiście, od pewnego czasu prezes bywał codzień zgolony, często nawet poderżnął się nieborak bez ratunku.

— Przed kilkoma dniami przed jednym z sędziów pokoju miasta Warszawy, odgrywał się epilog niemiłego dramatu.

Wesoło bawiono się na imieninach najstarszej córki u państwa X.

Panna X. jest uroczą dzieweczką, a przytem ogniotrwała kasa ojczulka nie jest pustą. Nic więc dziwnego, że wiele serc młodych goreje uczuciem miłosnem dla nadobnej i posażnej panienki.

Z pomiędzy licznego grona konkurentów największym zapałem erotycznym odznaczali się panowie W. i Z.

Pan W. zajmuje dość intratną posadę — p. Z. jest bez stanowiska.

Nic więc dziwnego, że serce panienki ku pierwszemu się skłoniło.

Niepowodzenie doprowadziło pana Z. do rospaczy, a nienawiść dla rywala dochodziła do szału.

Na imieninach panny X. dwaj konkurenci, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, asystowali nadobnej dzieweczce, mierząc się zawistnym wzrokiem.

P. W. posiada wiele złośliwego dowcipu.

W ciągu rozmowy więc kilka razy w ironiczny sposób traktował swego rywala.

Gdy dowcip pana W. zanadto igrać począł, pan Z. powstał... i głośny policzek wprawił w zdumienie całe towarzystwo.

Obaj młodzi ludzie opuścili niezwłocznie towarzystwo.

W obecnych czasach, tego rodzaju dramaty kończą się często przed kratkami sądowemi.

Tak też i stało się w tym mypadku.

Sędzia pokoju, uznając pana Z. za winnego wyrządzenia obelgi czynnej panu W. w licznem towarzystwie, co stanowi okoliczność zwiększającą winę, skazał go na dwa miesięce aresztu policyjnego.

Pana Z. w smutnych medytacyach śród ciszy więziennej pocieszać będzie ta myśl, że odsadził nienawistnego kozkurenta od panny, chociaż sam nic na tem nie skorzystał.

Smutna pociecha!...

ROCHEFORT I ROSSIGNOL.

przez

Alfonsa Daudet'a.

Rochefort, którego poznałem po mojem przybyciu do Paryża, był to dzielny chłopiec, usposobienia dosyć melancholicznego, żyjący skromnie wraz z ojcem na czwartem piętrze przy ulicy des Deux-Boules i w ciężkiej pracy zarabiający na utrzymanie domu. Mały urzędnik w ratuszu, kilka artykułów w „Szariwari“ płaconych po sześć liardów od wiersza, i które prawdę mówiąc, nie więcej były warte, od czasu do czasu jakaś sztuczka w teatrzyku Plunketa lub Cognarda, wszystko to razem wzięte stanowiło życie spokojne i bezbarwne, podobne do jego pism, lecz które bynajmniej nie odpowiadało jego ekscentrycznej fizyognomii, jego ustom wązkim a namiętnym, jego wielkiemu otwartemu czołu, tej głowie bladej, wzburzonej, nerwowej, która stanowiła wówczas całą jego oryginalność.

Co było ciekawego w Rocheforcie z owych czasów, to pewne zawadjactwo w ruchach, jego żywe upodobanie do wierszy, do obrazów, a po nad tem wszystkiem owa wiedza właściwa Paryżanom, owo doświadczenie bulwarowe, które posiadał w stopniu najwyższym i już jako syn wodewilisty wychowany w kawiarni cyrkowej. Po za tem nie było w nim nic wybitnego, i nie miał też wówczas innej ambicyi nad tę, ażeby od czasu do czasu, widzieć swe imię na afiszu w towarzystwie Clairvilla lub Sirodaina. Takim był Rochefort 1860; ten który wydawał „Latarnią“, zjawił się dopiero później, dzięki Rossignolowi.

Ów Rossignol, byłto urzędnik miejski, którego spotykano wszędzie, i który każdego pytał z przejęciem: „czyś pan widział Rocheforta?“

Spędzał on życie na chodzeniu za nim, oczekiwaniu go i przysługiwaniu mu się w najrozmaitszy sposób: wołał dla niego dorożkę, nosił artykuły do dzienników, powtarzał jego słowa, naśladował gesta, i doszedł do tego, że będąc jego cieniem, uważał to za zadanie swego życia.

Typ to dosyć pospolity na bulwarach, wszyscy ludzie cokolwiek wyżsi nad ogół ciągną za sobą swoich Rossignolów. Jest to osobistość pośrednia pomiędzy powiernikiem a służącym, wymaga charakteru jednostajnego, skłonności komparsa a także i cokolwiek majątku, ponieważ ten sposób życia dość pochłania, a mało przynosi...

Przypadek zrządził, że Rossignol Rocheforta posiadał oprócz tych różnych uzdolnień jeszcze i pewną oryginalność osobistą.

Była to postać wielkiego Panurga, o długich gładkich włosach, szczególna mięszanina naiwności i cynizmu, skromności i zuchwalstwa, głupstwa i śmieszności, młodości i przejrzałości. Miał lat dwadzieścia dwa a wszystkie nałogi starców, laskę z mosiężną gałką i tabakierkę. Najcichszy i najbardziej ponury z ludzi, nagle wybuchał szaloną wesołością, albo z zimną werwą opowiadał skandaliczne farsy, bez przyczyny napastował ludzi na ulicy, dla samej przyjemności wyszumienia się, wypowiedzenia wszystkich głupstw, jakie mu przeszły przez głowę, używając przytem gestów epileptycznych i smutnego przeciągłego śmiechu ludzi chudych.

Do dziś dnia łamię sobie głowę jeszcze nad tem, jakim sposobem ten dziwak wcisnął się w spokojne życie Rocheforta, dość, że nie rozstawali się z sobą.

Gdy Rossignol zrobił głupstwo, Rochefort je naprawiał; powstrzymywał go od awantury, sprowadzał go napowrót do rodziców, zaopatrywał w bilety do teatru, i pokazywał się z nim na bulwarach, co czyniło Rossignola dumnym i wcześnie obudzało w nim przedsmak sławy. Pewnego pięknego poranku i on też chciał pisać, a przynajmniej zobaczyć swe imię w dzienniku. Rossignol literatem! Było to tak zabawnem, że Rochefort nie mógł się oprzeć projektowi, umieścił go w owym domu warjatów, który nazywają redakcyą Tintamarrę, a wiedząc, że jest niezdolnym do napisania choćby jednego wiersza, nawet tam bawił się, robiąc dla niego artykuły.

Wówczas to stała się rzecz osobliwa. Ów Rochefort umiarkowany i mglisty, gdy pisał dla samego siebie, znalazł w sobie na rachunek drugiego, trywialną i szaloną werwę, podobną do tej, jaką objawiał w postępowaniu z Rossignolem; wcielając się w ten typ dziwaczny, nie szczędził wszelkiego rodzaju swobodnych wybryków swego ukrytego talentu. Co tylko najbardziej szalonego przechodziło mu przez głowę, czego nie mówi się nigdy, rozuzdanie pióra, błoto kałamarza, wszystko wydawało mu się dobrem dla Rossignola, a ponieważ mięszał do tego swój węch paryski i swoje sztuczki biegłego wodewilisty w oszczędzaniu efektów, wyszła więc z tego trudna do określenia, napuszona, szalona na zimno, literatura obrazowa, aż do bezwstydu z zacięciem nie francuskim lecz paryzkim, frazesowanie urywkowe podobne do skoków karpia, co jednak stanowiło piękną epokę w życiu Tintamarę, i uczyniło Rossignola sławnym od kawiarni szwedzkiej aż do Bobino. Wówczas to Rochefort znalazł formę dla swego talentu i nie omylił się w tem, a po kilku miesiącach ćwiczeń, gdy poznał swą siłę, rzekł do towarzysza: „idź teraz sam!“

Nieszczęśliwy Rossignol zostawiony samemu sobie, radził sobie, jak mógł, żyjąc w części na rachunek reputacyi a w części na rachunek tego, czego się od mistrza nauczył. Później dostał spadek, a więc naturalnie damy z Bobino, dziennikarstwo, kolacyjki i całe życie artystyczne weszło w grę..... Krótko mówiąc, biedny chłopiec skończył tak, jak chciał, zniszczyły go noce i poszedł umrzeć do błogiego kraju do Canneo w sąsiedztwie Wiktora Cousina i kilku innych sławnych osobistości, co było dla niego pewną satysfakcyą moralną.

Rochefort jednak miał dosyć powodów, ażeby się nie dać pociągnąć w wir takiego życia, przedewszystkiem wstrzymywał go katar żołądka, a powtóre gdzież miał znaleźć czas do zabawy. Miał go jednak dosyć, ażeby stawić czoło temu strasznemu uraganowi paryzkiego szału, który obijał się o niego, ciosami piorunu unosił go albo przyduszał, rozdmuchując jego sławę od Jockey-Clubu aż do Ameryki, tworząc w około niego popularność straszną i śmieszną zarazem, która jego samego przygłuszała... pokazywano go sobie, wyrywano, konie wyścigowe nosiły jego imię. Dziewczęta biegały za nim: „Pokażcież mi waszego Rocheforta“ — mówił książę de Morny ile razy spotkał redaktora Vilmessant... — Gdyż należy to wiedzieć, jeżeli Rochefort był winowajcą, to cały świat paryzki był w pewnym stopniu jego wspólnikiem Zanadtośmy go znali, zanadto często mówiliśmy: „jakiż on śmieszny, ten Rochefort!“

Ty sam o Veuillocie! śmiałeś się... a jak on dbał o to nieszczęsny, ażeby nas rozśmieszyć! Jak on się lękał o to ażeby mu się sława nie wymknęła, któż z nas nie widział go ogryzającego sobie paznokcie nazajutrz po jednym z artykułów i pytającego się z niepokojem: „Co ja im teraz napis ę?“ wówczas czując wyczerpanie zupełne, widząc, że nie ma już nic do powiedzenia, robił tak jak Rossignol i radził sobie zuchwalstwem i mówił wszystko, wszystko językiem Rossignola. I oto tajemnica rozgłosu „Latarni.“

Ach, moi przyjaciele, niech nas Bóg broni od podobnego rozgłosu! gdy go się raz skosztowało, niepodobna się wstrzymać od upajania się nim, za jaką bądź cenę, jakąkolwiek bądź szklanką. Są w szpitalach nieszczęśliwi, dotknięci pijackim obłędem, którzy w ten sposób rzucają się na wszystko co znajdą: czy to będzie witryol, czy woda kolońska, wszystko dla nich jest dobre, byle pić. Oto los Rocheforta, jeśli utalentowany ten człowiek, jeśli ten szlachcic pozwolił się unieść pewnego poranku prądowi ojca Duchèsne, wierzcie mi, że nie namiętność polityczna tamby go popchnęła... on nawet nigdy nie wiedział, co to jest polityka. Nie była to również miłość zysku, wiem że jest wyższym po nad to. Nie! było to nieugaszone pragnienie popularności, nałóg rozgłosu ze wszystkiemi jego oznakami, straconym smakiem, jąkaniem się, obłąkaniem, szałem... Przez chwilę sądziliśmy, że wyzdrowieje. Podczas pięciu miesięcy oblężenia miał odwagę pozwolić, ażeby o nim zapomniano, nie pisał więcej; trzeba mu to policzyć. Lecz potem jakaż straszna recydywa... a to wszystko, dla tego, że podczas jego nieobecności przyszli inni, którzy czynili toż samo, co Rochefort, lepiej od niego. Napróżno głos podnosił, napróżno wybijał się w górę, popularność jego była straconą, tem to tłómaczę sobie jego gniew, jego majaczenie z ostatnich dni. Pomimo to wszystko, uwolniony, oswobodzony od żółci i piany, Rochefort pozostanie charakterystyczną postacią swego czasu. Przyszedł on w porę, znajdując wielki dom otwarty, przyszedł jak ten, którego oczekiwano, był to Gawroche, zesłany przez opatrzność; zaś opatrznościowem było to, że kazano mu wybić pierwszą szybę w cesarstwie i dać sygnał zniszczenia... Nawet pod względem rzemiosła należy mu się uznanie. Pamflety jego mają często werwę, mają ducha, siłę komiczną, przypomina mi on Pawła Ludwika Couriera, spotęgowanego, ale umiejącego się utrzymać na poziomie epoki i mówiącego do niej językiem zrozumiałym. Dwaj pamfleciści zbliżają się do siebie rodzajem odegranej roli, nieubłaganą nienawiścią i sztukateryą stylu, gdyż obaj nie byli w nim naturalni. Lecz istnieje między nimi różnica taka, jak pomiędzy wykładem Horacego a przedstawieniem Teresy. Courier czerpał wymuszoność swego stylu ze starych wrorów szesnastego wieku, Rochefort zaś z całkiem nowego żargonu dziewiętnastego wieku. Czytając Pawła Ludwika, widzę między wierszami uśmiech starego Amiota.

Czytając Rocheforta myślę wciąż o Rossignolu.

Treść Nr. 24.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.